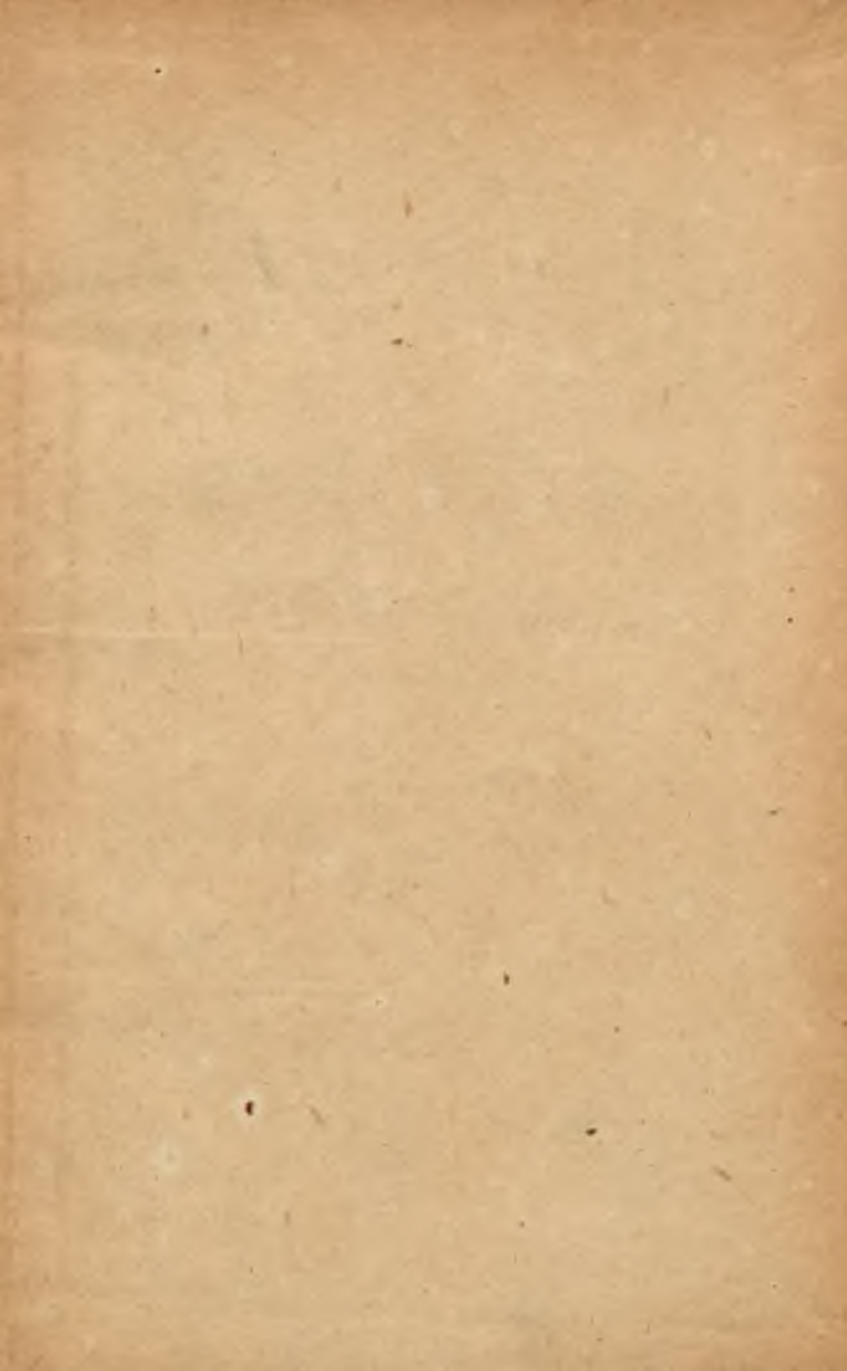


Biblioteka im. Hieronima  
Łopacińskiego w Lublinie

17932









*A. L. Szymański.*



**WŚRÓD  
SŁOWEŃCÓW.**

*Dublet  
013442*

*17932*

**B. P. im. Ł.**

**Warszawa  
1908.**



Wśród Słoweńców.

1000071823



871



114294  
2299636



A. Ł. Szymański.

# WŚRÓD SŁOWEŃCÓW.

SZKICE Z ŻYCIA

uspołecznionych pobratymców.

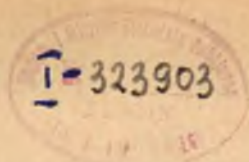
17932



WARSZAWA.

Wydawca: Seweryn Saryusz-Zaleski.

1908.



323.1 (=862/-863)"18" : 06(436)"18" : 943.64



## I.

### W drodze.

... A więc przedewszystkiem niech pan jedzie do słoweńców! Kraj niewielki, naród również niezbyt liczny — ale za to tak uspołeczniony, że daj Boże, abyśmy za lat dziesiątek do tego doszli!

Począłem się zastanawiać, czyby nie pójść za tą radą, tembardziej, że dawał mi ją człowiek, który nigdy nie radzi bezmyślnie.

A kiedy rozczytałem się w uwagach arcybiskupa. J. Teodorowicza, zamieszczonych w ankiecie „Przeglądu Powszechnego,” — kiedy przejrzałem broszurę księdza Leopolda Lenarda „Praca chrześcijańsko-społeczna w Południowej Słowiańszczyźnie,” — przestałem się namyślać i ruszyłem via Kraków, Wiedeń do Lublany.

Tam w Wiedniu „na Dunaju” — jak mówią słoweńcy — rozpoczęły się właśnie posiedzenia parlamentu i wszyscy wybitniejsi przedstawiciele stronnictwa chrześcijańsko-społecznego jako posłowie przebywali w Wiedniu.

Jadę tedy „na Dunaj” dla poznania się z posłami słoweńskimi...

.....

Gdy wieczorem, wyjeżdżając koleją południową z Wiednia, robiłem przegląd swoich wra-

zeń i spostrzeżeń z pobytu w naddunajskiej stolicy, to przedewszystkiem rzuciło mi się w oczy wzmaganie żywołu słowiańskiego w tem mieście. Prawda, że dziś jeszcze ci polacy, czesi, chorwaci, słoweńcy, słowacy — to przeważnie robotnicy, rzemieślnicy, wyrobnicy, drobni przekupnie, ale już i handel zaczynają obejmować i do innych zawodów coraz liczniej wchodzą. To jest widoczne, to na każdym kroku stwierdzić można.

I jeżeliby Wiedeń można uważać było za barometr stosunków w całym państwie—to stan sprawy słowiańskiej w cesarstwie austryjackiem byłby pomyślny.

Dziś, po bliższem rozejrzeniu się w stosunkach słowiańszczyzny pod berłem Austrii, widzę i jestem moralnie przekonany, że czesi, chorwaci, słoweńcy, rusini—sprawy swojej dopilnują i zejść jej z porządku dziennego naturalnego rozwoju nie pozwolą.

Tej stanowczej pewności, tego bezwzględ- nego przekonania co do nas, co do sprawy polaków, niestety, nie posiadam i wzbudzić w sobie nie mogłem.

Tam czesi, chorwaci, a nadewszystko słoweńcy zaczęli od podstaw, od organizowania społeczeństwa, a dopiero później, dopiero teraz biorą się do „wielkiej” polityki.

W Galicyi było odwrotnie: pierw nasi działacze robili „wielką” politykę, pracę społeczną traktując finatropijnie.

Tymczasem „wielka” polityka bankrutuje, a w organizowaniu społeczeństwa znaleźli się „usłużni” wyręczyciele.—Jacy? To wskazuje codzienne życie galicyjskie...

## II.

### Lublana.

Ledwie się wyjedzie koleją południową z Wiednia, a nawet tak piękne krajobrazy zaczęną się przesuwać z obydwuch stron toru, że doprawdy nie wiadomo, w którą stronę pa-trzeć.

Mnie wybawiła z kłopotu noc ciemna: je-chałem bowiem pociągiem nocnym. Zresztą tak byłem zmęczony, że wątpię, czy nawet przy dniu najładniejszym byłbym zdolnym do napa-wania się pięknem roztaczających się dokoła krajobrazów.

Gdy więc nad ranem z przedziału ubyło nieco pasażerów, skorzystałem ze sposobności, aby wyprostować choć na parę godzin utrudzo-ne nogi i całe ciało, a taka nieco dogodniejsza pozycja rychło pozwoliła mi się przenieść w naj-cudniejszą wówczas dla mnie krainę — w krai-nę snu.

Zbudziłem się około 8-ej rano na przystan-ku Koetsch i po śniadaniu, pokrzepiony podwój-nie: snem i jedzeniem, zacząłem rozglądać się w malowniczym krajobrazie gór.



Przejeżdżamy Styryę—po słoweńsku: *Sztajersko*, wreszcie wieżdźmy do Krainy. Język słoweński panuje już wszechwładnie. Słyszy go się na wszystkie strony i widzi w napisach stacyjnych: Sagor — *Zagorje*, Lital — *Litija*, Kressnitz — *Kresnice*, Laase — *Laze*, Salloch — *Zalog* i... Laibach—*Ljubljana*.

Lublana! Wjednej chwili jestem na peronie, a w drugiej — w karetcie hotelu „Union.” Prędeż, prędeż, dostać się do numeru, obmyć, oczyścić z pyłu i dalej na miasto!

Nie zdążyłem jeszcze doprowadzić do całkowitego porządku swój ubiór, gdy u drzwi rozległo się pukanie.

— Proszę!

I ukazuje się sympatyczny autor „Pracy chrześcijańsko-społecznej w Południowej Słowiańszczyźnie” ks. Leopold Lenard.

Dowiedział się już o mojem przybyciu i z prostotą a szczerością, która wogóle cechuje słoweńców, ofiaruje mi swoje usługi przewodnika, póki sam się nie zaaklimatyzuję dostatecznie.

Dziękuję serdecznie i nie tracąc czasu — (słoweńcy ogromnie nie lubią tracić czasu na próżno)—idziemy na miasto.

Pierwsze wrażenie bardzo dodatnie. Miasto czyste. Tramwaje elektryczne. Oświetlenie także. Wszystkie nowsze domy w stylu „moderne” bez karykaturalnej przesady. Wiele gmachów poważnych, publicznych. Środkiem miasta rzeczka Ljubljanica, dopływ Sawy. Wiele nieporównanych lipowych i kasztanowych alei spacerowych brzegiem rzeki i dokoła miasta. A wszystko to otoczone, niby pierścieniem łańcuchem porośłych lasami gór.

Idziemy ulicami, przechodzimy przez liczne,—lekkie w swej konstrukcyi,—mosty na Lublanicy i co kilkadziesiąt kroków zatrzymujemy się to przed jakim gmachem, to znów przed pomieszczeniem jakiej instytucyi. Robimy ogólny przegląd.

Co chwila nad licznymi sklepami spotykam już to większy, już to mniejszy napis:

*Trgovina z raznovrstnim*

### BLAGOM

i... uśmiecham się mimowoli.

Boć przeciętny, a „domyślny” warszawiak bez wahania przetłómaczyłby napis taki, jako: „Handel wszelkiego rodzaju blaga” i ze zwiedzenia Lublany gotów byłby wywieść przekonanie, iż jest to centrum handlu blagą na świat cały.

Tymczasem mało jest chyba miast w Europie, w którychby mniej było blagi, niż tutaj. A ta „blaga” na wszelki sposób na znakach sklepowych odmienia, to tylko oznacza towary „Trgovina z raznovrstnim” — brzmiałoby w terminologii warszawskiej: sklep z norymberszczyzną. („Blago” słoweńskie odpowiada polskiemu „towary,” choć tenże wyraz oznacza wogóle *mienie*).

Po dwu godzinnem oglądaniu miasta podążamy na górę zamkową, która w środku miasta wznosi się wysoko ponad szczyty domów i drzew. Wejście na górę wygodne. Idzie się drogą węzową o łagodnym spadku, —zwirowaną; w miejscach bardziej stromych i na zakrętach — poręczę; co kawałek, ławki do odpoczynku dla niewytrzymałych do chodzenia po górach mieszkańców równin. Wszystko to zasługa miejscowego

Stowarzyszenia turystycznego, które nietylko w obrębie i w okolicach Lublany, ale po całym kraju rozwija swoją działalność.

W kwadrans jesteśmy na wierzchołku:

— *Lep razgled!* Piękny widok!

Przepiękny można powiedzieć bez przesady. W dole wśród zieleni miasto, wokół ściany gór, hen w dali na horyzoncie widać szczyty skał nagich, chmur sięgające, — a wszystko to skąpane w blaskach słońca, gorących, jasnych, jaskrawych aż do bólu oczu.

— Choćmy do zamku.

Przez potężną bramę wchodzimy na dziedziniec. Przewodnik mój zwykle uśmiechnięty, — dziwnie poważnie, silnym oddechem podnoszą mu się piersi, zakłada ręce i na chwilę rozmowa się przerywa...

— Wie pan, dziwnie przyjemnego, pokrzejającego uczucia doznaję za każdym pobytem wśród tych ponurych murów. Toć ten zamek jeszcze do niedawna był niemiecki, stąd niemieczyna przez wieki roztaczała nad nami swoje panowanie — a dziś i ten zamek i wszystko, co widać dokoła — nasze, słoweńskie. Zaborcza fala niemiecka musiała ustąpić przed świadomą swą siłą solidarną pracą narodową. Pracą u podstaw, cichą, spokojną, bez rozgłosu — ale prowadzoną z planem, z wytrwałością, z jasnym poglądem na życie, z ideałem wiary w sercu.

Pięćdziesiąt lat temu stolicę ziemi naszej Niemcy mogli nazywać Laibachem, bo to rzeczywiście było miasto niemieckie. Mowę słoweńską słyszeć można było tylko w górach wśród pastuchów, w zapadłych wsiach wśród ludu rolniczego. Ktokolwiek zbliżył się do miast, ktokolwiek wspiął się wyżej po stopach drabiny

społecznej — przyjmował mowę i obyczaj niemiecki, niemczył się bezpowrotnie.

A dziś — pomimo braku silniejszych tradycji historycznych, pomimo braku inteligencji rodowej, — przy niesłychanie trudnych warunkach pracy, którą w każdym kierunku trzeba było zaczynać od najpierwszych początków — dziś doszliśmy do tego. że na swojej ziemi jesteśmy znowu panami. Obecnie w Krainie Niemcy stanowią tylko 5% ludności 95-% słowenców, a w Gorycyi, Styryi, Istrii i Karyntyi wszędzie z dnia na dzień wzmagamy się liczebnie i kulturalnie.

Ten zamek, tak doskonale widoczny z każdego punktu naszej stolicy, — to ognisko, z którego niemczyzna promieniowała na kraj cały, — dziś wykupiliśmy! Urządzimy tu muzeum narodowe, aby jak dawniej był on symbolem władzy niemieckiej, tak dziś będzie godłem nieustannej pracy odrodzenia narodowego.

Niech wszystkim rodakom przypomina o obowiązkach względem kraju, a przed wszystkimi obcymi niech świadczy, że tu dziś nie „Laibach”, lecz *Lublana!*...

. . . . .

Jeżeli pierwszego dnia z ogólnego przeglądu miasta odniosłem wrażenie dobre, to w miarę dalszego zapoznania się z niem, wrażenie początkowe pogłębiało się, potężniało, urastając do czci dla tych, co tę utraconą stolicę z powrotem dla kraju odzyskali.

Wrażenie takie musi odnieść każdy polak, przyzwyczajony do rozwichrzonych stosunków u siebie w domu, gdy się uważnie przyjrzy tej



wielkiej, poważnej, skupionej pracy społecznej wśród słoweńców.

Przedziwnie potrafili skojarzyć w swoim usposobieniu nabytą niemiecką praktyczność i systematyczność z wrodzoną słowiańską rzutkością i lotnością.

Dzięki temu w znacznej części przypisać należy tak świetne i tak szybkie zwycięstwo narodowe w walce z Niemcami. Słoweńcy, wchłonawszy w siebie przymioty przeciwników, mieli nad nimi przewagę o cały szereg swoistych przymiotów charakteru własnego.

Tak, to był czynnik sprzyjający zwycięstwu — ale samo zwycięstwo zawdzięczają słoweńcy przede wszystkim swemu duchowieństwu z episkopatem na czele.

Księża byli głównymi przywódcami odrodzenia narodowego i również księża są dziś głównymi pracownikami materialnego wzmoczenia ludności.

Gdy idea odrodzenia narodowego wykwitła w południowej słowiańszczyźnie w pierwszej połowie zeszłego stulecia — duchowieństwo, stanowiące jedyną inteligencję słowieńskiego ludu, zrozumiało swe posłannictwo i podjęło je mężnie, podjęło z zapałem, a raz podjąwszy, doprowadziło do końca z wytrwałością i zaparciem się.

Dziś pierwsze pokolenie tych bojowników o budzącą się narodowość zeszło już do grobu. Ci nieliczni co jeszcze pozostali, po pracowitym żywocie w zasłużonym spokoju spędzają resztę dni swoich, oddawszy pracę młodszym. A ci nowi, ci młodszy, ani o włos nie ustępują w działalności swym poprzednikom. Objąwszy w posia-



danie placówki zdobyte,—z rokiem każdym zdobywają coraz to nowe.

Mało tego! Słoweńskie duchowieństwo obecne, odpowiednio przygotowane w seminaryum do zrozumienia współczesnego ducha czasu, nie zadowolniło się samą pracą oświatowo-narodową, ale nie zaniechawszy jej—całą moc wyteżyło w kierunku organizowania ludu dla osiągnięcia materialnego podniesienia społeczeństwa.

Jak tamci poprzedni dzielnie spełniali swój obowiązek względem narodowości, tak obecni następcy godnie spełniają obowiązek pracy kulturalno-ekonomicznej.

I to na ziemi słoweńskiej musi przyznać każdy, nietylko bezstronny, ale i człowiek choćby jaknajbardziej wrogo „z zasady” względem wszelkiego duchowieństwa usposobiony.

Obecnie do pomocy duchowieństwu w pracy społecznej stanęło już grono inteligencji, ale znów trudno nie zaznaczyć, że wychowanie, że przygotowanie tego młodego zastępu inteligencji jest również zasługą tegoż samego duchowieństwa...

Gdym jadąc do Lublany spotkał się tu i owdzie z pochwałami dla działalności duchowieństwa słoweńskiego, z pochwałami bez zastrzeżeń prawie wyrażanymi, mimowoli — doświadczeniem życiowym kierowany — posądzałem ludzi o pewną stronność, ale po przybyciu, na miejscu, po dłuższem i wszechstronnem zbadaniu istoty rzeczy — widzę, iż pochwały słyszane były raczej zamało, niż zabardzo entuzjastyczne.

Niechże jednak przemówią same fakty, niech przemówią dowody rzeczowe, boć wiadomo, dzieło najlepiej świadczy o swym twórcy.



Tak więc w Lublanie obecnie istnieją następujące instytucje, powstałe dzięki lub skutkiem działalności społecznej duchowieństwa 1) „Ljudska posojilnica” (Ludowa kasa pożyczkowa) a właściwie bank, stanowiący centralę dla wszystkich kas pożyczkowo-oszczędnościowych, rozrzuconych gęsto po prowincjach, zamieszkałych przez słoweńców.

Zaznaczyć przytem należy, iż rozpowszechnione są jedynie kasy systemu Raiffeisena, zdaniem tutejszych działaczy, niczem niezastąpione, i nieocenione dla społecznego wykształcenia i wyrobienia ludności wiejskiej.

2) „Zadružna zveza” (Związek stowarzyszeń)—ognisko wszystkich stowarzyszeń kulturalnych i ekonomicznych. Główne zadanie—to ideowa i praktyczna praca nad szerzeniem ruchu stowarzyszeniowego, oraz kontrolowanie działalności wszystkich istniejących stowarzyszeń.

3) „Katolicki związek prasowy” posiadający własną księgarnię i drukarnię. Związek ten wydaje i popiera cały szereg pism i książek słoweńskich.

4) „Gospodarska zveza” (związek) z filiami po całym kraju — zajmuje się pośrednictwem w zbywaniu produktów rolnych, oraz hurtowym zakupem nasion, nawozów sztucznych i narzędzi dla swoich członków.

5) „Słoweńska krszczansko-socialna zveza” (Chrześcijańsko-społeczny związek słoweński) z filiami po całym kraju. Stowarzyszenie kulturalno-oświatowe.

6) „Kmečka zveza” (Związek włościański)—stowarzyszenia polityczne. W organizacyi tej

ludność skupiona okręgami, stosownie do terytorjalnych okręgów wyborczych.

Lecz to nie wszystko! Nie wymieniam tu instytucji tych, co do których stosunek duchowieństwa trzeba będzie obszerniej omówić i wyjaśnić, — nie wymieniłem też całego szeregu związków prowincjonalnych jak „*Drusztwo sv. Mohorja*” w Celowcu (Stowarzyszenie św. Mohora) lub też zrzeszeń o specjalnym charakterze, jak „*Drusztvo detoljubow*” (Stowarzyszenie przyjaciół dzieci).

A jak te stowarzyszenia działają? Niebawem opiszę...

### III.

#### „Zadružna Zveza.“

Związek stowarzyszeń. O nim najpierw pisać będę, bo zaszczyt ten, jakkolwiek nie z wieku, ale z urzędu słusznie mu się należy.

Tak się szczęśliwie złożyło, że przybyłem do Lublany na dwa dni przed dorocznem ogólnem zebraniem „Zadružnej Zvezy,” więc odrazu miałem możność poznania i ludzi, co prowadzą instytucję, i ludzi, co stanowią instytucję.

Zebranie odbyło się w wielkiej sali koncertowej hotelu „Union.” Przedstawiciele zręczonych stowarzyszeń przybyli nader licznie; wśród zebranych spora ilość księży, większość młodych, choć i starszych wiekiem garstka znaczna.

W oczekiwaniu rozpoczęcia obrad na sali potworzyły się kółka i kółeczka. Tu i owdzie omawiają pierwsze sesye parlamentu wiedeńskiego, ale na ogół większość zastanawia się nad różnemi sprawami bezpośrednio, bliżej z życiem codziennem związanemi. Przechodzę od gro-



madki do gromadki, przysłuchuję się rozprawom, rozglądam się wśród ludzi.

Każdego z nas, przywykłego do naszych stosunków, po przybyciu do słoweńców muszą przede wszystkim zwrócić uwagę dwie, rzucające się w oczy, rzeczy: 1) ubranie księży, 2) sposób ich obcowania ze świeckimi bez względu na położenie majątkowe czy stan.

W życiu codziennem wszyscy księża, z wyjątkiem bardzo poważnych wiekiem, zamiast sutanny, używają zwykłych tużurków, cokolwiek tylko dłuższych od używanych przez świeckich. I to nawet nie koniecznie z gładkiego czarnego materiału, choć zawsze koloru ciemnego.

Noszenie tużurków daje księżom większą swobodę ruchów, a choć trochę ujmuje „uroczystości” zewnętrznego wyglądu, to jednak w najmniejszym nawet stopniu nie odbiera powagi, jaką się wśród słoweńców duchowieństwo cieszy. (Dalszych wniosków z tej obserwacji nie będę wysnuwał, bo to jest temat do oddzielnej bodaj rozprawy pod tytułem: „Istotna powaga duchowieństwa a uroczysty wygląd.” Prawdę powiedziawszy, — ale to w nawiasie, — rozprawa taka bardzo by się i u nas przydała).

Co do drugiego spostrzeżenia, — to wśród słoweńców taki jest zwyczaj, że ksiądz, — bez względu na stopień hierarchiczny, — do włościanina, rzemieślnika czy inteligenta zawsze w życiu powszedniem przemawia jak równy do równego, zawsze w stosunku jest jednakowy. I odwrotnie gospodarz wiejski, robotnik miejski zbliża się do księdza po poradę czy pomoc nie jak do jakiejś „wyższej osoby,” ale ot, zwyczajnie, jak równy do równego, dobrego człowieka, który



całym sercem i umysłem rad zawsze swym bliźnim posłużyć.

Już to trzeba przyznać, że demokracja wśród słoweńców naprawdę weszła w życie i przesiąkła we zwyczaje.

Niechby u nas, — jak to tutaj często widzieć można, — chłop na wsi czy robotnik lub rzemieślnik w mieście w czasie rozmowy poklepałby księdza po ramieniu—to, doprawdy, nie obrażam sobie, jaki skandal byłby następstwem takiej poufałości.

A tu w Słowenii... przed chwilą oto chłop poklepał po ramieniu swego proboszcza czy wikaryusza, w dalszym ciągu rozmowy ksiądz poklepie chłopą, nikt nie czuje się obrażonym czy zadrażnionym w swej godności osobistej.

Rozumie się, — dodaję, aby ubiedz złośliwych, — nie piszę o tem z zamiarem zalecania klepania się wzajemnego po ramionach w czasie rozmowy. Fakt powyższy zaznaczyłem, jako dosadnie charakteryzujący prostotę stosunków codziennych, pozbawionych balastu zbytecznych ugrzecznień i wyszukanych wykwinności form, tak często będących płaszczykiem obłudy i nieszczeroci, lub zarozumiałości i pychy!..

Ale tymczasem dzwonek od stołu prezydyałnego kładzie kres wszelkim rozprawom i moim refleksjom. Za przykładem wszystkich zajmuję miejsce i natężam uwagę.

Posiedzenie zagaja ks. dr. Jan Krek, poseł do parlamentu, prof. filozofii i socjologii dusza całego chrześcijańsko-społecznego ruchu wśród słoweńców.

Po załatwieniu zwykłych formalności posiedzeniowych dr. Krek zabiera głos, jako prze-

wodniczący zwierzchnictwa zarządu\*) i stwierdza z zadowoleniem coraz większy rozwój związku. Dalej wskazuje na potrzebę rozwinięcia działalności w Istrii i Dalmacyi, gdzie jeszcze najmniej ludność jest zorganizowana, wreszcie zawiadamia o pomyślnym wyniku zabiegów „Zadrużnej Zvezy,” co do zamawiania przez władze wojskowe dostaw produktów u stowarzyszeń, należących do zrzeszenia.

Z następnych przemówień i odczytanych sprawozdań coraz wyraziściej występuje wszechstronna działalność i wszechstronna doniosłość „Zadrużnej Zvezy” w społeczno-ekonomicznym życiu słoweńców, a uważne przejrzanie łaskawie doręczonemu mi na posiedzeniu drukowanego sprawozdania ostatecznie o tem przekonywa.

„Zadrużna Zveza,” z końcem roku 1906, była zrzeszeniem 341 stowarzyszeń, rozrzuconych po całym terenie osiadłości słoweńców. Dziś w połowie 1907 r. do związku należy już 380 stowarzyszeń — do końca roku liczba ta z pewnością wzrośnie po nad 400. Jeżeli dla porównania dodamy, iż w 1905 roku w zrzeszeniu było tylko 274 towarzystwa—to szybki rozwój tego „Związku stowarzyszeń” uwydatni się w całej pełni.

Wśród wymienionych pod koniec 1906 r. 341 — zrzeszonych stowarzyszeń było: 183 kasy pożyczkowo - oszczędnościowe, 88 towarzystw spożywczych, gospodarczych i włościąńskich,

---

\*) Sprawami „Zadrużnej Zvezy” kierują następujące władze: zarząd z 15 członków, zwierzchnictwo zarządu z 5-ciu członków i dozór (rodzaj komisji rewizyjnej) również z 5-ciu członków się składający.

46 młeczarni, 6 związków winiarzy, 2 związki oliwiarskie, 2 związki bliżej nieokreślone w sprawozdaniu, 2 towarzystwa gwoździarzy i metalowców, 1 związek mularzy, 1 związek stolarzy, 1 związek kamieniarzy, 1 związek młynarzy, 1 towarzystwo stawiania mostów, 1 związek ogrodników, 1 związek bednarzy, 1 związek szewców, 1 związek towarzyszy sztuki drukarskiej, 1 związek warzywników i wreszcie 1 związek hodowców bydła.

Co za cel, co za pożytek kojarzenia z sobą stowarzyszeń tak różnorodnych?

Cel jest przedewszystkiem ten, aby wszystkim związkom dopomódz do prawidłowego działania i rozwoju. Dla osiągnięcia tego zadania wśród funkcjonaryuszów swoich „Zadrużna Zveza” posiada 2 rewizorów vel rewidentów i 1-gó nadrewizora, który jest zarazem sekretarzem zarządu.

Obowiązkiem tych urzędników związku jest ciągle przenoszenie się z jednej miejscowości do drugiej i sprawdzanie ksiąg stowarzyszeń oraz wogóle zaznajomienie się z całym ich rozwojem.

Rewizor albo może być wezwany do zrobienia rewizyi przez stowarzyszenie, albo jest posyłany, — co się częściej zdarza, przez zarząd „Zvezy”.

Rewizor związku jest nie tylko wykwalifikowanym buchalterem, ale zarazem do pewnego stopnia instruktorem społecznym. On nie tylko potrafi wyszukać braki czy niedokładności w prowadzeniu ksiąg, ale i w całej działalności stowarzyszenia, a wyszukawszy zło — zaraz dać nań radę.

Korzyści z takich systematycznych rewizji obliczyć się nie dadzą, jedno jest pewne, że bez tego środka wiele stowarzyszeń wiodłoby chronicznie żywot suchotniczy. Ludzie, choćby najlepsi, są tylko ludźmi i zawsze im jakiś bodziec do pracy jest potrzebny.

Wobec więc tych rewizji,—*nie tam jakichś biurokratycznych, ale rewizji w imieniu własnego stowarzyszenia wspólnego — rewizji społecznej*, — wszystkie zarządy starają się tak pracować, aby przy każdej nowej rewizji związek ich mógł się pochlubić coraz większym rozwojem działalności na zewnątrz, coraz większym porządkiem wewnątrz.

Jak już wspomniałem wyżej, rewizya może być robiona albo na żądanie stowarzyszenia poszczególnego, albo z rozporządzenia zarządu „Zvezy.”

Jeżeli naprzykład o działalności jakiegoś stowarzyszenia spółdzielczego czy związku zawodowego zaczynają rozchodzić się niepomyślne wieści, czasem może nawet zwykła plotka, ale znajdująca wiarę i szkodząca pewnemu towarzystwu — „Zadružna Zveza” wysyła zaraz rewidenta. W tydzień w piśmie zjawia się wiadomość o wyniku rewizyi. Plotka ma skrzydła podcięte, ogół wie prawdę.

Ale może też być i tak: Zarząd „Zadružnoj Zvezy” widzi ze sprawozdania rocznego, iż pewne stowarzyszenie, zamiast rozwijać się, stoi w miejscu albo, co gorzej, upada. Wnet jedzie tam rewizor, sprawdza książki, bada stosunki miejscowe i w rezultacie przedsiębrane są natychmiast odpowiednie środki zaradcze.



Zdarza się znów, że w jakiejś miejscowości, zachęteni powodzeniami innych osad, zakładają naprzykład mleczarnię.

Po paru miesiącach zarząd spółki czy ogół stowarzyszonych spostrzega, że coś tych spodziewanych zysków nie widać, a nie mogą sobie sami zdać sprawy, co jest przyczyną tych ujemnych wyników. Dalej więc udają się do zarządu „Zvezy;” przyjeżdża rewizor, rozgląda się w sposobie prowadzenia stowarzyszenia i wskazuje na braki, najczęściej z niedoświadczenia wynikłe.

Czasami między stowarzyszonymi a zarządem jakiego związku wynika zatarg, nieporozumienia, podejrzenia o nadużycie — i znów w tym wypadku, jak w wielu, wielu innych przeprowadzenie rewizji okazuje się bardzo skutecznem lekarstwem.

W roku 1906-ym „Zadružna Zveza” dokonała 152 rewizye, dokładane są jednak wszelkie starania, aby w najbliższej przyszłości liczbę dokonywanych rewizji podwoić tak, żeby każde stowarzyszenie przynajmniej raz na rok było rewidowane obowiązkowo.

Ale proszę nie myśleć, że jedynie przeprowadzenie rewizji zrzeszonych w związek stowarzyszeń jest całym zadaniem „Zadružnej Zvezy.”

Dobra jest rada, pożyteczne jest wykazanie braków, zawsze jednak najlepiej do celu prowadzi bezpośrednia czynna pomoc. Niedomagania większości stowarzyszeń zawodowo-produkcyjnych, zwłaszcza w początkach istnienia, pochodzą najczęściej z braku gotówki. Potrzebny więc jest tani kredyt.



„Zveza” z założenia swego operacyami pieniężnymi nie zajmuje się, ale występuje w roli pośredniczki.

Jako instytucja poważna, ma kredyt otwarty w wielu bankach i kasach państwowych, oraz prywatnych. Z niego to korzystają należące do związku stowarzyszenia.

Jasna jest rzecz, że pojedynczo wzięta mleczarnia, stowarzyszenie spożywcze czy zawodowe alboby wcale kredytu w bankach nie dostało, a w najlepszym razie, gdyby dostało, z ilomaby to zabiegami i staraniami musiało być połączone! Tymczasem stowarzyszenia składają się ze zwykłych włościan-gospodarzy, zwykłych robotników i rzemieślników, którzy ani czasu nie mają wolnego, ani częstokroć nie wiedzą, jak się zabrać do tych starań o kredyt. Przy istnieniu „Zadrużnoj Zvezy” cała manipulacja jest bardzo prosta: stowarzyszenie, potrzebujące pożyczki, zwraca się do zarządu „Zvezy,” ta wydaje czek na tę lub inną instytucję pieniężną i sprawa załatwiona.

Wyobraźmy sobie teraz takie położenie: jakiś związek stolarzy zaciągnął już pożyczkę za pośrednictwem „Zadrużnoj Zvezy,” ale mimo to jeszcze rozwój jego idzie kulawo. Są jednak widoki powodzenia, trzeba tylko z rok jeszcze przetrzymać, sprowadzić ulepszone narzędzia czy maszyny do obróbki drzewa — tego wszystkiego bez pieniędzy się nie zrobi. Związek nowej pożyczki zaciągnąć nie chce, bo by wziętym na siebie ciężarom nie podolał, i oto znowu przychodzi z pomocą ta sama „Zadrużna Zveza.” Za pośrednictwem posłów do parlamentu robi starania w ministeryum o zapomogę

państwową jednorazową, czy na przeciąg kilku lat dla owego związku.

Pzyjeżdża delegat ministerjum, sprawdza podane wiadomości i informacye statystyczne (które są zawsze wymagane) i zwykle w okresie nie dłuższym nad pół roku od dnia zrobienia podania następuje przyznanie zapomogi.

Nie koniec na tem. „Zadružna Zveza” nie tylko opiekuje się już istniejącemi stowarzyszeniami, ale niemniej stara się o ułatwienie powstania nowych. Zdarza się bowiem, że tu i owdzie ludzie mieliby chęć założyć jakie odpowiednie dla swoich warunków stowarzyszenie, ale załatwienie formalności prawnych jest dla nich szkopułem nie do zwalczenia.

„Zveza” przewidziała możność takiej sytuacji. Ma też przygotowane ustawy wszelkiego rodzaju stowarzyszeń, ma gotowe blankiety podań do władz, ma gotowe książki do prowadzenia rachunkowości i całej administracji stowarzyszeń — słowem wszystko zawsze jest w pogotowiu i na założenie nowego stowarzyszenia uczestnicy jego nie tracą więcej czasu nad godzinę — to jest tyle, ile trzeba na podpisanie i potwierdzenie aktu u rejenta.

Czyż można się dziwić, iż przy takiej rozumnej organizacyi praca społeczna tak wielkie postępy robi z każdym rokiem wśród słowenców, że aż zaczyna zwracać na siebie powszechną uwagę?

Toć w takich warunkach każdy student czy kleryk na wakacyach może zorganizować całą okolicę, gdzie przebywa. Wystarcza, aby przygotował grunt, aby zachęcił włościan czy robotników do zrzeszenia się w najodpowiedniejsze dla miejscowych warunków i potrzeb sto-

warzyszenie. A kiedy to zrobił, oddaje dalszy ciąg w ręce „Zadrużnej Zvezy,” która już zajęła się nadaniem związkowi prawnej formy, następnie da instruktora, który pouczy pierwszy zarząd jak i co prowadzić należy, a i potem w każdej chwili służy objaśnieniem czy poradą prawną.

Jak szeroka w tym kierunku jest działalność „Zadrużnej Zvezy,” to najlepiej świadczy sprawozdanie, odczytane na z-braniu dorocznem przez dyrektora d-ra Władysława Pegana: przez pierwsze sześć miesięcy 1907-go roku zarząd „Zvezy” otrzymał 7,859 listów w różnych kwestiach stowarzyszeniowych. W tymże czasie dał piśmiennych odpowiedzi i instrukcyi 10314, nie licząc objaśnień ustnych, udzielonych zgłaszającym się do biura.

Ten zakres pracy „Zadrużnej Zvezy” rozszerzył się ogromnie w porównaniu z rokiem poprzednim, gdyż *w ciągu całego 1906-go roku* zostało danych „tylko” 15,297 odpowiedzi listowych i instrukcyi piśmiennych.

Pomimo takiej olbrzymiej pracy biuro „Zvezy” nie jest nazbyt liczne. W skład jego oprócz już wspomnianych dwóch rewizorów i nadrewizora wchodzi jeszcze: kierownik, czyli naczelnik, buchalter i jego pomocnica, administrator, trzy urzędniczki-korespondentki i praktykant. Rozumie się, jest też jeden woźny. Ogółem 12 osób.

Cały personel ma roboty, jak to się mówi po same uszy, ale nie wymaga się odeń filantropii: wszyscy są dostаточно wynagrodzeni. Tak na przykład płaca roczna dwóch rewizorów i nadrewizora wynosi razem 12,540 koron (5000 rubli), a oprócz tego zwracane mają koszta podró-

ży w czasie wyjazdów na rewizye. Pensye pozostałych urzędników i urzędniczek biura wynoszą rocznie około 4,000 rb.

Przy „Zadrużnoj Zvezy” jest też jeszcze mleczarski ekspert instruktor, pod którego fachową opieką znajdują się należące do związku mleczarnie spółdzielcze. Tak samo jak rewizorzy jest on większą część roku w drodze; jeździ od mleczarni do mleczarni, udzielając praktycznych wskazówek prawidłowego prowadzenia stowarzyszeń w kierunku fachowym. Pensya roczna tego eksperta wynosi 1,100 (440 rb.) i zwrot kosztów podróży, które w roku sprawozdawczym 1906-ym dosięgły 1,232 korony (czyli prawie 500 rb.)

Ponieważ jednak pomimo posiadania rewidentów - instruktorów, eksperta mleczarskiego, biura korespondencyi— wpływ „Zadrużnoj Zvezy” na stowarzyszenia nie byłby wszechstronny, więc dla osiągnięcia tego celu związek wydaje też pismo pod tyt. „Narodni Gospodar.”

Jest to dwutygodnik społeczno-ekonomiczny dla szerokich mas. Tutaj to rewizorzy z odbytych rewizyi podają swoje spostrzeżenia, mające znaczenie ogólniejsze, — tutaj się drukują ważniejsze wyjaśnienia z racyi zapytań poszczególnych stowarzyszeń, — tutaj są sprawozdania z działalności różnorodnych związków krajowych, — tutaj są wreszcie artykuły specjalne informacyjne z różnych dziedzin wiedzy praktycznej, jako też wiadomości o rozwoju ruchu stowarzyszeniowego w innych krajach.

„Narodni Gospodar” należącym do „Zvezy” dawany jest bezpłatnie; rozumie się, że



i nieczłonkowie mogą prenumerować, co też bardzo wielu ludzi czyni ze względu na życiowo pożyteczną treść tego pisma. Przedpłata roczna wynosi 4 korony (1 rb. 60 kop.)

. . . . .

Powyżej, o ile można było najdokładniej i najwszechstronniej, starałem się przedstawić działalność „Zadrużnoj Zvezy” w chwili obecnej. Rzecz jasna, iż „nie odrazu Kraków zbudowano.” Praca „Zvezy” nie szła od samego początku tak składnie i dokładnie, jak to się dzisiaj widzi. Niejeden błąd w początkach popełniono, niejedną próbę daremną przeprowadzono, zanim wyrobiła się instytucja do potrzeb miejscowych dostosowana. Ale raz uznawszy potrzebę takiego związku stowarzyszeń i powoławszy instytucję do życia — rąk nie opuszczano, pierwszymi niepowodzeniami się nie zrażano. Za godło wzięto sobie wytrwałość i podtem godłem zwyciężono.

Nim jednak w dalszym ciągu naszkicuję rys historyczny powstania i rozwoju „Zadrużnoj Zvezy” — dokończę tymczasem opisu swych wrażeń i spostrzeżeń z ogólnego zebrania związku...

Od początku do końca szło z całą systematycznością. Mówiąc otwarcie, w pierwszej chwili z powodu tej składności, z jaką szło zebranie, zacząłem wszystkich uczestników zebrania podejrzewać o pewną apatyczną bierność. Ale niebawem przekonałem się, że podejrzania moje były bezpodstawne, że to, co brałem za bierność, było tylko tem, co zwykle wyrobieniem parlamentarnem nazywamy. Ci wiejscy delegaci mleczarni, spółek rolniczych i hodo-



wlanych, ci prości, na pierwszy rzut oka, chłopci słoweńcy umieją brać udział w posiedzeniach i umieją obradować tak, że niejednen *przewodniczący* naszych warszawskich „wieców wychowawczych” mógłby pójść do nich na naukę. O warszawskich *uczestnikach* warszawskich wieców nawet już nie mówię...

Żaden włościanin, — naogół biorąc, czy to polski czy nie polski, — nie jest wielomówny: do słoweńskiego stosuje się to może w większym jeszcze stopniu. Nie lubi tracić słów na próżno, zabiera wtedy tylko głos, gdy ma co do powiedzenia. Jak widzimy jest to bardzo prosty sposób na to, aby zebrania szły porządnie. Polecam go wszystkim członkom naszych instytucji i stowarzyszeń, jako jedyny wypróbowany środek niezawodny.

Póki więc trwały odczytania sprawozdań zwierzchnictwa, zarządu, komisji rewizyjnej i sekretarza biura „Zvezy,” mało kto głos zabierał, — nie krytykowano, bo nie było co krytykować; ale z chwilą, gdy przyszła kolej na wnioski zarządu i na wnioski wolne, liczba zapisujących się do głosu zwiększyła się zaraz. I tu właśnie mogłem się przekonać o wyrobieniu społecznem ludu słoweńskiego, a te pierwsze obserwacje moje później w ciągu dłuższego już pobytu wśród słoweńców na każdym kroku potwierdzenie znajdują.

Na zebraniu pomienionem poruszono sprawy zasadnicze, głębszego znaczenia, jak np.: sprawę wprowadzenia pożyczek samoamortyzujących się, kwestyę nieprzyjmowania do stowarzyszenia z nieograniczoną poręką ludzi, którzy już są uczestnikami związków na takichże zasadach opartych, albo wreszcie sprawę podjęcia

starań, aby rząd uznał kasy Raiffeizenowskie za mogące przyjmować fundusze nieletnich. Wszyscy uczestnicy doskonale oryentowali się w tych dość nieraz subtelnym kwestiach, i z prawdziwą satysfakcją przysłuchiwałem się tym żywym, zwięzłym i rzeczowym chłopskim przemówieniom. Żaden nie zabrał głosu dłużej nad 5 do 10 minut.

Pod koniec zebrania dr. Władysław Pegan dzielny dyrektor „Zvezy,” zawiadamia zebranych, iż kilkunastu kleryków chorwackich przyjeżdża do Krainy na czas wakacyi dla zapoznania się z urządzeniem i prowadzeniem różnego rodzaju stowarzyszeń.

Zainteresowała mię ta wiadomość. Poprosiłem tedy przy najbliższej sposobności o wyjaśnienia w tej sprawie.

Okazuje się, iż w Chorwacyi zarówno oświata, jak i praca społeczna stoją daleko niżej, niż wśród słoweńców.

Dotąd zajmowano się tam najwięcej politykowaniem, ale teraz, gdy przyszła pora na czyn polityczny, spostrzegli się chorwaci, iż są za mało wyrobieni, za mało spoście zorganizowani, za mało skupieni, do polityki czynu nieprzygotowani.

Zwróciły się oczy wielu na najbliższych sąsiadów, na braci-słoweńców, którzy takie postępy w tych właśnie kierunkach zrobili i oto klerycy chorwaccy czas wakacyjny poświęcają na zaznajomienie się z pracą społeczną w Krainie.

Słoweńcy radzi, że owocami swej pracy pochłubić i podzielić się mogą, gościnnie przyjmują pobratymców, rozmieszczają ich po plebanjach miejscowości, gdzie stowarzyszenia naj-

lepiej prosperują, i tak poprostu na przykładach codziennych uczą ich pracy społecznej.

Owoce tego systemu już zaczynają się w Chorwacyi uwydatniać: że są dobre — zapewnić zbyteczne.

Gdy uderzony doniosłością takiego praktycznego zaznajomiania przyszłego duchowieństwa chorwackiego z zasadami organizowania ludu, wdałem się na ten temat w rozmowę z niektórymi działaczami słoweńskimi, zaskoczyło mię niespodzianie taką propozycją:

— Co tu dużo gadać! To samo, co robimy dziś względem kleryków chorwackich, to samo dałoby się w każdej chwili zrobić i dla waszych.

— Jakto?

— A no, bardzo prosto. Dziś kleryk chorwacki, który przyjeżdża do Krainy dla zapoznania się z naszą pracą chrześcijańsko-społeczną wśród robotników i ludu wiejskiego, musi mieć tylko tyle pieniędzy, ile potrzeba na przejazd i drobne minimalne wydatki codzienne, poza tem mieszkanie i życie otrzymuje bezpłatnie od proboszcza, u którego przebywa. Przecież słowiańska gościnność jeszcze żyje, a zresztą od miłego gościa grzechem byłoby brać zapłatę.

A dalej tak tę sprawę urządzamy, że stosownie do tego, czy ten lub ów kleryk chcący się zapoznać z całym ruchem w ogólnych zarysach, czy też specjalnie z prowadzeniem poszczególnych stowarzyszeń — zostaje cały czas pobytu w jednym miejscu, albo co jakiś tydzień, dwa, zmienia miejscowość. Rozumie się, kto przyjeżdża, musi sobie naprzód zdać sprawę, po co przyjeżdża, co chce poznać; — stosownie do

wyrażonego zdania zarząd „Zadrużnej Zvezy” porozumiewa się naprzód z odpowiednimi proboszczami, aby uniknąć wszelkich niespodzianek i nieporozumień, gdyby do jednej miejscowości niechcący zjechało się kilku naraz kleryków, i byłoby rzeczą trudną lub wręcz niemożliwą zapewnić wszystkim odpowiednie locum.

— Czy jednak nie byłby dla was uciążliwy taki najazd naszych kleryków? Toć przecie kilkunastu kleryków chorwackich, kilkunastu polskich,—to już razem kilkudziesięciu. Byłoby to nadużyciem może waszej pobratymczej gościnności.

— Tylko żadnych ceremonii! Widzi pan, jak tu u nas wszystko robimy, mówimy, piszemy poprostu. Sądzę, iż i tę sprawę będzie najlepiej traktować prosto, bez obwijania słów w bawełnę.

— Najzupełniej się piszę na takie traktowanie sprawy.

— Tem lepiej. Otóż kilkunastu kleryków utrzymać przez miesiąc czy dwa to jest drobnostka, gdyż każdy będzie na innem probostwie: najwyżej dwóch w jednym miejscu; — a zresztą i tę drobnostkę mogą nam polacy taką samą monetą odplacić. Rozpatrując się wśród naszych stosunków zapewne pan spostrzegł, jak my tutaj mało wiemy o was, polakach. Mało się znamy, strach jak mało, a jednak tak potrzeba jest, abyśmy się bliżej przyjrżeli sobie i to potrzeba jest coraz naglejsza. Gdyby więc kilkunastu kleryków od nas pojechało w wasze strony na takich samych warunkach, jak my waszych przyjąć chcemy, to czyż mam obszerniej tłómaczyć, ileby pożytku wypłynęło z takiego bezpośredniego zetknięcia się i poznania. Takie



osobiste przypatrzenie się sobie, takie rozglądnięcie się własnymi oczyma w stosunkach, takie życiowe zamienienie się myślami i uczuciami — to się nie da zastąpić przez książki i gazety.

Czyż tym wywodom można było zaprzeczyć? Potakująco też słuchałem w dalszym ciągu, gdy mój mówca rozwijał jeszcze dalej swój projekt:

Przypuszczam, że na przyszły rok przybędzie tutaj do nas 15 kleryków polskich: po pięciu z każdej dzielnicy. Bardzo ładnie! My ze swej strony nie omieszkamy też, nie za rok, to za dwa, posłać wam mniej więcej taką samą liczbę naszych kleryków: jednych przyjmiecie w Królestwie, drugich w Galicyi, trzecich w Poznaniu. Nasi poduczą się polskiego, wasi znowu słoweńskiego i może wreszcie dojdziemy do tego, iż wiadomości o sobie nie będziemy czerpali wzajemnie jedynie z „Neue Fr. Presse” lub „Berliner Tageblattu.”

I jeszcze jedno: praca chrześcijańsko-społeczna nie może stać jedynie na samem duchowieństwie. Działalność świeckich i to działalność znaczna, jest niezbędna. Wiadomo, iż sami oni nie wyrosną, trzeba ludzi takich przygotować. Z tych względów dobrzeby też było, iżby oprócz kleryków wybrało się do nas na czas wakacyjny i kilku studentów co rok. Rzecz jasna, studentów takich, którzy się sprawą chrześcijańsko-społeczną interesują. Od nas też by zawsze kilku studentów w wasze strony jeździło.

W ten sposób z nieuchwytnej dziedziny abstrakcyjnych opowiadań, że „dobrze byłoby się zbliżyć” zeszło by się na trzeźwy grunt praktycz-



ny. Wybyście od nas zaczerpnęli doświadczenia z dokonanych prób organizacyi społecznej, my od was pod innymi względami z pewnością niejednego nauczyćbyśmy się mogli. Korzyść zobopólna.

Kładę jednak nacisk, że od nas możecie zaczerpnąć tylko doświadczenia w pracy organizacyjnej. Trzeba bowiem naprzód uprzedzić tych, co tu do nas przyjeżdżać będą, że niech nie myślą, aby znaleźli gotowe wzory uniwersalne, które wystarczy dokładnie skopiować, żywcem przeflancować schemat na grunt Królestwa, Galicyi czy Poznańskiego — i już wszystko pójdzie jak po maśle.

Tymczasem takich gotowych schematów nietylko u nas na ziemi słoweńskiej, ale nigdzie nie znajdziecie. Nie życie do rodzaju organizacyi, ale organizacye do wymagań życia przystosowywać należy. Zasadę tę u siebie na każdym kroku stosujemy i bynajmniej nie mamy pretensyi, aby nasze instytucye, nasze związki i stowarzyszenia były czemś skończonem. Jedne braki już widzimy i niebawem to i owo trzeba będzie zmienić, poprawić—inne za rok, za kwartał nawet może uwydatnią się w całej pełni, i znowu wypadnie o zmianach pomyśleć; to co dziś wydaje się dobrem — pojutrze udoskonalać. Zresztą wy, polacy, powinniście to rozumieć,—przecież nie kto inny tylko wasz polski poeta Asnyk tę wielką prawdę tak pięknie i obrazowo streścił, że trzeba

Z żywymi naprzód iść,  
I życie stwarzać nowe,  
A nie w uwiedłych laurów liść  
Z uporem stroić głowę!

Cóż dodać do słów powyższych? chyba, że informację jeszcze, że Kraina jest miejscowością górzystą, że oprócz kleryków i studentów wielu naszych księży i nie księży, którzy dla poprawy zdrowia jeżdżą do różnych badów renomowanych,—z tym samym, a może i lepszym skutkiem, mogliby szukać wytchnienia na ziemi słoweńskiej. Takie miejscowości jak Bled, jak Bochiń i cały szereg innych pięknnością a zdrowotnością przewyższa dziesiątki kurortów europejskiej sławy. Jednym słowem przyjeżdżając do Krainy, można za jednym zachodem zdobyć poprawę zdrowia i zapoznać się z rozumnie i celowo prowadzoną organizacją społeczeństwa na zasadach współczesnych. A to chyba rzecz nie do pogardzenia?

. . . . .

Na samym końcu omawianego zebrania dorocznego „Zadružnej Zvezy” dr. Krek odczytał list biskupa d-ra Machnicza, którego dycecyza obejmuje wyspę Kerk i inne pobrzeżne około Istrii, gdzie żywioł słoweński zмага się zwycięsko z włoskim.

Początek listu nie zapowiadał nic nowego ot, zwyczajnie, przeproszenie z powodu niemożności, pomimo chęci, przybycia na zebranie.

Ale jakoś list nie kończy się na tem; słucham dalej i przekonuję się, iż to nie pusty frazes to, co było powiedziane na początku; widzę, że ten dostojnik kościoła całą duszą oddany jest pracy społecznej, że jeżeli na to doroczne zebranie nie przybył, to naprawdę musiał mu nawał zająć na to nie pozwolić.

Przynajmniej mnie w tym kierunku przekonywał dalszy ciąg listu, w którym biskup

Machnicz zawiadamiał o założeniu udziałowego stowarzyszenia żeglugi parowej na morzu Adryatyckiem, w celu uniezależnienia słowniskich związków współdzielczych od różnych prywatnych (niemieckich, włoskich i węgierskich) handlowych agentur okrętowych, które dotąd były panami sytuacji.

Dwa statki parowe założonego przez biskupa stowarzyszenia już kursują. Ale to jeszcze mało do zaspokojenia potrzeb związków, należy jak najprędzej powiększyć ilość parowców, więc oto, korzystając z ogólnego zebrania „Zadrużnej Zvezy”, — odwołuje się dostojnik Kościoła do wszystkich delegatów wszystkich zrzeszeń, aby poparli jego zabiegi dla wspólnego dobra podjęte i nabywali udziały stowarzyszenia żeglugi, bardzo zresztą przystępnej wysokości, bo po 50 koron (20 rb.) jeden.

Wiadomość o powstaniu własnego stowarzyszenia żeglugi przyjęto z widocznym zadowoleniem. Niejedni marzyli o tem może, jako o rzeczy dalekiej przyszłości, a tu raz, dwa, trzy, zakrzętnął się dzielny biskup, żeglugę już założył i żąda tylko poparcia. Nie wątpię, iż to poparcie niezwłocznie znalazł.

Na tym liście lubianego powszechnie dostojnika Kościoła dr. Krek zamknął posiedzenie.

Dyrektor W. Pegan zatrzymuje jeszcze na chwilę wszystkich: oto ma całą seryę nowego systemu skarbonek sztucznych, z których w żaden sposób wydobyć nie można raz włożonej monety. Wzywa więc interesujących się tą rzeczą do obejrzenia tych domowych kas oszczędności. Rozumie się, suną prawie wszyscy do podwyższenia prezydialnego. Zbyt wiele sło-

weniec już zawdzięcza umiejętności oszczędzania, aby się nie zainteresował taką sprawą.

Oglądam i ja skarbonki. Są proste, mocne, na klucz zamykane. Przy otworze do wpuszczania pieniędzy dowcipny, choć również nieskombinowany mechanizm, stawiający stanowczy opór wszelkim pokusom wydostania włożonej do puszkki monety.

W zastosowaniu praktycznem taka jest z temi puszkami manipulacya: właściciel puszkki, będący jednocześnie członkiem jakiej kasy oszczędnościowej, klucz od skarbonki oddaje urzędnikowi kasy, puszkę zostawia u siebie. Raz na miesiąc czy częściej, stosownie do okoliczności, idzie z puszką do kasy; tam otwierają skarbonkę, przeliczają złożone oszczędności, wpisują do książki, a pustą, zamkniętą puszkę oddają z powrotem właścicielowi.

Sposób nie nowy, doskonały do odkładania groszowych oszczędności. Nieraz u nas o nim po gazetach pisano, tylko u nas na pisaniu przeważnie się skończyło, a tymczasem słowency wprowadzili go w praktykę i z powodzeniem stosują, zwłaszcza przy przyuczaniu do oszczędności młodego pokolenia...

Po ostatecznem skończeniu się zebrania czeka mię mała niespodzianka. Bo czyż mogłem przypuścić, że w kraju gdzie mają własne rodzime wino, nie skorzystają z takiej okazji jak zjazd kilkuset delegatów ze wszystkich dzielnic słoweńskich i nie urządzą bankietu! „Zadružna Zyeza” rozwija się coraz lepiej, powstaje nowe doniosłego znaczenia stowarzyszenie żeglugi, i ludzie nie urządzają bankietu! Czy to nie skandal?



Skończyło się zebranie i uczestnicy [naj-  
zwyczajniej w świecie rozchodzą się do domów.  
Blżej zamieszkali wyruszają zaraz w drogę,  
kilkudziesięciu tylko z dalszych okolic przecho-  
dzi się posilić na werendę hotelowej restauracyi.  
Siadają sobie do stolików grupami po czterech,  
pięciu, sześciu, skupiając się razem znajomi  
i sąsiedzi. Obiad każdy sobie dysponuje oddziel-  
nie, przestrzegając zasady „wedle stawu gro-  
bla.” Nawet wino nie wszyscy każą sobie po-  
dawać, choć ono tutaj jest powszedniem dopeł-  
nieniem jedzenia i bynajmniej nie zbytkiem.  
(Krajowe krańskie wino „cwiczek” już w re-  
stauracyi kosztuje tylko 20 groszy ćwierć litra.  
Zwykle w karafkach tych rozmiarów do obiadu  
jest podawane).

Ale duch wstrzemięźliwości od lat kilku  
z powodzeniem szerzy się wśród słoweńców,  
zwłaszcza wśród duchowieństwa, i dla tego spot-  
kanie tutaj ludzi którzy nie piją wina, nie na-  
leży już do rzadkości. Jaka szkoda, że jaką  
mocą czarnoksięską nie mogłem chociaż na  
pół godziny przenieść na tę werendę do Lu-  
blany z parę tuzinów prezesów różnych insty-  
tucyi naszych i pokazać im na żywym przy-  
kładzie, iż to naprawdę mogą się odbywać waż-  
ne i nader danosłe i bardzo liczne zjazdy, a  
kończyć zwyczajnie bez libacyjnego bankietu!  
A tak muszą mi wierzyć na słowo, iż to jest  
możliwe nawet w kraju, mającym własne rodzi-  
me wino.

Korzystając z otrzymanego zaproszenia,  
w jakiś czas po opisanem wyżej zebraniu, za-  
szedłem do biura „Zadružnej Zvezy.” Posze-  
dłem, aby zobaczyć samo urządzenie biura i do-



wiedzieć się przytem nieco szczegółów z przeszłości „Zvezy.”

Przyjął mię sympatyczny dyrektor, pan Gjuro (Dziuro) Raszica, chorwat, człowiek młody, energiczny. Wśród pogawędki o działalności „Zvezy” przechadzam się po pomieszczeniach biura. Urządzone zupełnie nowocześnie, co i u nas widzieć można, więc nie opisuję. Jedną tylko rzecz zauważyłem, która mi się wydaje praktyczną w użyciu i warta byłaby zastosowania we wszystkich instytucjach centralizujących w sobie szereg różnych pomniejszych stowarzyszeń.

Oto w jednej z sal biura cała ściana od dołu do góry zajęta półkami, poprzegradzanemi pionowo. Otrzymano w ten sposób kilkaset przedziałów, każdy od frontu przysłonięty jest ruchomą klapką, na wierzchu której wpisuje się nazwę, rodzaj i miejscowość stowarzyszenia, należącego do „Zvezy.” W przedziale mieszczą się wszelkie dokumenty, dowody i sprawozdania dotyczące danego stowarzyszenia. Dzięki takiemu urządzeniu w każdej chwili,—dość sięgnąć do odpowiedniej przegródki,—ma się wszelkie informacye o żądanem stowarzyszeniu.

Widziałem różnie urządzone biura centralne i stanowczo muszę stwierdzić, że w ten sposób szybciej się sprawy załatwia, niż gdy trzeba robić poszukiwania w całym szeregu ksiąg.

Rozumie się, wszystkie dowody i dokumenty są do ksiąg wciągnięte dla koniecznej kontroli i wzajemnego zestawienia,—ale do do-  
 raźnego praktycznego użytku służą dobrze owe małe przegródki razem zszeregowane w kolejnym porządku.

Z natury rzeczy biuro zajmuje dość duże pomieszczenie.

— Czyby się nie opłaciło wybudowanie własnej siedziby?—zapytuję swego informatora.

— Opłacić, możeby się już i opłaciło!—słyszę w odpowiedzi. — Ale dla instytucji dopiero rozwijającej się jest rzeczą ryzykowną u nieruchomości znaczniejszy kapitał w budowlu. I, jak obecnie, wybudowanie własnego domu byłoby dla nas korzyścią bardzo problematyczną. Nie przeczę jednak, że o tem już myślimy, i za lat kilka, przy sprzyjających okolicznościach weźmiemy się do dzieła.

Zapewne niedługo te „sprzyjające okoliczności” nastaną, bo obecni kierownicy działalności „Zvezy” w osobach dyrektora kancelaryi p. Raszicy, sekretarza kancelaryi i nadrewizora p. Svetoslava Premrou i dyrektora zwierzchnictwa p. Pegana zupełną tego dają gwarancję.

Dość powiedzieć, że gdy poprzednio każdy rok „Zadružna Zveza” zamykała deficytem od 3 do 11 tysięcy koron, to w roku sprawozdawczym 1906-ym, kiedy ci trzej energiczni młodzi ludzie stanęli przy warsztacie pracy społecznej „Zvezy,” osiągnięto 19,000 koron zysku.

Fakt ten najlepiej wskazuje, co w każdym stowarzyszeniu, w każdej instytucji znaczą odpowiedni ludzie. Toć „Zadružna Zveza” od samego początku istnienia rządziła się tą samą zasadniczą ustawą,—do zarządu i kancelaryi od samego również początku starano się dobierać ludzi najlepszych, a jednak sześć lat związek przynosił deficyt, póki wreszcie nie natrafiono na najodpowiedniejszych z pomiędzy tych najlepszych: słowem, na ludzi nietylko z przymio-

tami charakteru, czy umysłu, ale jednocześnie z odpowiednią energią i praktyczną wiedzą.

Z drugiej strony trzeba podziwiać tę wytrwałość, tę wiarę w pożytek i potrzebę instytucji, jaką bezspornie posiadali założyciele „Zadrużnej Zvezy.” Sześć lat rok za rokiem ponosić deficyty i nie stracić ufności w rozwój stowarzyszenia, w możność dalszej samoistnej egzystencji,—to zaprawdę rzecz jest niecodzienna.

Ale słoweńcy zamiast się zniechęcać, zacięli się w upornej wytrwałości. Raz uświadomiwszy sobie niezbędność takiego stowarzyszenia, jak „Zadrużna Zveza,” póty co rok dopełniali kadry pracowników, póty wnikali w przyczyny niedoborów, póty zmieniali różne szczegóły—aż wreszcie dopięli swego. Dziś „Zveza” nie potrzebuje już kołatać do rządu o wsparcia, nie potrzebuje trwożnie patrzeć w przyszłość, bo stanęła już na pewnych nogach samoistnego rozwoju.

W każdym razie przykład jej bardzo jest pouczający, zwłaszcza dla nas w Królestwie Polskim, gdzie tyle teraz powstaje instytucji i stowarzyszeń, a gdzie z powodu braku gruntowniejszego wyrobienia społecznego tak łatwo o niepowodzenie w początkach.!

Niedość—jak widzimy—obmyśleć pożyteczną instytucję, niedość ją nawet do życia powołać,—trzeba jeszcze mieć wytrwałość przeprowadzenia jej przez ogniowe próby pierwszych lat istnienia i następnie tak ją gruntownie na torze postępowego rozwoju obsadzić, aby jej bytem nie mogła zachwiać pierwsza lepsza zewnętrzna przyczyna. Ale jeżeli cały zapal pracy społecznej jedynie ze „słomianego ognia” energię czer-

pać będzie, to zaprawdę „szkoda czasu i atlasu.”

Dzięki uprzejmości wspomnianego już wyżej dyrektora biura „Zadrużnej Zvezy,” p. Rašzicy, pozyskałem materiał historyczno - statystyczny, który rzuca ciekawe światło na cały ruch organizacyjno-stowarzyszeniowy wśród słoweńców.

Pierwociny tego ruchu rozpoczęły się w r. 1873, kiedy dnia 9-go kwietnia wydane zostało w państwie austriackim nowe prawo o stowarzyszeniach, ułatwiające zakładanie wszelkiego rodzaju związków w zakresie kulturalnym i ekonomicznym. Już w roku następnym 1874 ym mieli słoweńcy 6 stowarzyszeń, na początek same kasy pożyczkowo oszczędnościowe. A w 10 lat później istniało już w dzielnicach słoweńskich pod koniec r. 1884-go 25 różnych związków;—dalej w r. 1894-ym było stowarzyszeń 99, w czem pożyczkowo - oszczędnościowych 75; wreszcie z końcem sprawozdawczego 1903 r. posiadali słoweńcy już 576 stowarzyszeń wszelkiego rodzaju i typu.

Z liczb powyższych widzimy, jaki szalony rozwój ruchu organizacyjnego nastąpił w okresie ostatnim.

Ale też w tymże czasie okazała się nagląca potrzeba takiego stowarzyszenia, jak „Zadružna Zveza,” któraby wzięła w swoje ręce kierownictwo całego ruchu i rozciągnęła opiekę nad związkami już powstałymi.

Potrzeba powstania „Zvezy” tem się przede wszystkim uwydatniła, że w ostatnich latach kilkunastu, jeżeli całemi s e t k a m i powstawały coraz to nowe stowarzyszenia, to inne, dawniej



powstałe, dziesiątkami upadały. O ile powstawanie nowych związków było zjawiskiem bardzo pożądanem, o tyle upadanie dawniejszych ogromnie rzeczą przykrą i szkodliwą. Jakkolwiek było do pewnego stopnia publiczną tajemnicą, że przeważnie zanikają stowarzyszenia, oparte na ciasnym duchu partyjnym, ale sam fakt upadku większej liczby związków kulturalnych i ekonomicznych mógł być demoralizującym dla ogółu, mógł wywołać paraliżujący wpływ na dalszy rozwój całego ruchu organizacyjno-społecznego.

Wówczas to z inicjatywy księdza d-ra Jana Kreka, a przy czynnym współdziałaniu obecnego prezesa klubu słoweńskiego w parlamencie wiedeńskim d-ra Jana Szusterszicza powstała „Zadružna Zveza,” w pierwszych latach istnienia nosząca nazwę „Gospodarskiej.” Stało się to w roku 1900 i data owa ogromne ma znaczenie w historii słoweńskiego ruchu stowarzyszeniowego.

Jak potrzeba takiego środowiska jednoczącego była niezbędna, to najlepszy dowód, że już do dnia 30 czerwca 1902 r. z liczby istniejących stowarzyszeń do „Zadružnej Zvezy” przystąpiło 155, t. j. odrazu trzecia część wszystkich egzystujących wówczas związków. Teraz, w połowie 1907 r. liczba zrzeszonych w „Zadružnej Zvezie” dochodzi już, jak wiemy z poprzednich danych, liczby 400.

Te stowarzyszenia, które początkowo nieufnie odnosiły się do „Zvezy,” które sądziły, że *klerykali* na to ją ustanowili, aby wziąć za łeb wszystkich, z biegiem lat przekonały się o niesłuszności swych podejrzeń. Jakkolwiek bowiem „Zadružna Zveza” powstała w obrębie i siłami

obozu chrześcijańsko-społecznego (*mówiąc nawiasem, nie nie mającego wspólnego z klerykałizmem*), to jednak w działalności swej stanęła na gruncie bezpartyjnym i tylko dobra oraz prawidłowego rozwoju ruchu zrzeszeniowego przestrzega.

Wyłączność narodowa czy religijna w „Zadrużnej Zvezie” nie jest praktykowana i do rzadkości bynajmniej nie należy przystąpienie do niej jakiegoś stowarzyszenia, którego założyciele i członkowie nie są bynajmniej z obozu katolickiego. A związków chorwackich, które się przyłączyły do „Zvezy,” na dziesiątki liczyć można.

Przystąpienie do związku nie jest wreszcie żadnem ślubowaniem wiecznej nierozzerwalności; gdyby pojedyncze stowarzyszenia widziały tedy ze strony „Zvezy” chęć jakiejś majoryzacji, narzucania swych zasad, to z pewnością, mając zupełną swobodę pod względem wystąpienia ze „Zvezy,” ani chwiliby nie pozostawały dłużej, odkądby się przekonały o zagrożeniu swych praw czy wolności działania.

Tymczasem wystąpienie ze „związku” raz przyłączonego stowarzyszenia jest wypadkiem bardzo rzadkim, co służy jako najlepszy dowód zadowolenia stowarzyszeń ze „Zvezy.” Tak np. w r. 1906 wystąpiło jedno stowarzyszenie. Zauważyć przytem należy, iż i te wystąpienia, jakie się zdarzają, są wywołane albo osobistemi nieporozumieniami czy zatargami, albo też agitacją zewnątrz, bo wielu, bardzo wielu, coraz większy rozwój „Zadrużnej Zvezy” jest nie na rękę.

„Zveza” ma i tę jeszcze zasługę, że nacownie, rzeczowo przekonała ogół, iż stowarzyszenia współdzielcze wtenczas dopiero przynoszą

wszechstronny pożytek i wtenczas dopiero rozwijają się należycie, gdy są połączone w duży związek.

To też te stowarzyszenia słoweńskie, które,—czy to ze względów niedogodności terytorjalnych, czy też z powodu niechęci partyjnych, nie przystąpiły do „Zvezy,” ratując się przed upadkiem, — również potworzyły samodzielne związki, usiłujące na swoją rękę iść śladami „Zadružnej Zvezy.”

Tak więc oprócz „Zvezy” w Lublanie istnieje „Związek słoweńskich kas pożyczkowych” w Celju (Cilli) w Styryi, „Centralna kasa pożyczkowa” w Gorycy (Gorycya) i Istryacka kasa pożyczkowa” w Poli (nad morzem Adryatykiem).

Liczba tych stowarzyszeń, któreby szły luzem, stały oddzielnie, z każdym rokiem się zmniejsza i wkrótce zupełnie zaniknie.

Powiedziane było poprzednio, iż „Zadružna Zveza” sama na swoją rękę operacji finansowych nie podejmuje; tymczasem sprawozdanie za rok 1906-ty wykazuje, iż obrót roczny tego związku wynosił prawie 44 milj. koron i w porównaniu z rokiem poprzednim wzrósł o 12 prawie milionów.

Jakże tedy ten znaczny obrót pieniężny godzi się z zasadą nie podejmowania interesów finansowych?

A zaraz sprawa stanie się jasną, gdy zapoznamy się z w e w n ę t r z n ą stroną organizacji „Zvezy.”

Otóż według ustawy „Zadružna Zveza” jest sama przez się stowarzyszeniem z ograniczoną poręką.

Każde stowarzyszenie, chcące przystąpić do „Zvezy,” zgłasza się do zwierzchnictwa związku, które stosownie do swego uznania ma prawo przyjąć lub odmówić przyjęcia zgłaszającemu się. Stowarzyszenie, które otrzymało odmowę, może apelować do ogólnego zebrania związku, na którym sprawa rozstrzyga się ostatecznie.

Stowarzyszenie, przystępujące do „Zvezy,” wpłaca 10 koron (4 rb.) wpisowego i odpowiedni udział pieniężny.

Udziały są dwojakiego rodzaju: główne po 1,000 koron i handlowe po 10 kor. Każda kasa pożyczkowo-oszczędnościowa obowiązkowo musi wpłacić jeden udział główny, który może być wnoszony ratami w ciągu lat 5-u, ale pierwsza rata przy wstępowaniu nie może być niższą po nad 200 koron.

Wszelkie inne stowarzyszenia obowiązane są tylko do jednego handlowego udziału w wysokości 10 koron. Każde stowarzyszenie może jednak wziąć i kilka udziałów, ale potrzeba na to zezwolenia zwierzchnictwa „Zvezy.”

Po co ta ostatnia formalność?

A jest sprawa tego rodzaju, że według ustawy każde stowarzyszenie, należące do związku, a wpłacające główny 1,000 koronowy udział, jest odpowiedzialne pieniężnie do wysokości 5,000 koron [ $1000 + (4 \times 1000) = 1000 + 4000 = 5000$ ]; każde zaś, mające udział 10-koronowy, odpowiada swoim majątkiem do wysokości 200 tu koron [ $10 + (19 \times 10) = 10 + 190 = 200$ ].

Otóż zwierzchnictwo „Zvezy” musi baczyć, aby wzięta na siebie odpowiedzialność poszczególnych stowarzyszeń faktycznie odpowiadała



rzeczywistości, i stosownie do tego udziela prawa do wpłacenia określonej liczby udziałów.

Ten punkt ustawy jest bardzo ważny. Wysokość wpłaconych udziałów jest jedną z ważniejszych podstaw kredytu pieniężnego, jaki oddają „Zadrużnej Zvezie” różne banki i instytuty finansowe.

Podstawa tego kredytu musi być solidną, nie na papierze; to leży w interesie przede wszystkim samej „Zvezy,” której działalność nie jest obliczona na miesiące czy lata, ale na lat dziesiątki, leży też w interesie banków, które otwierają u siebie kredyt.

Gdyby tego punktu nie było, to stowarzyszenia, należące do związku, mogłyby się bawić w spekulacye: brać kilka czy kilkanaście udziałów handlowych, wyjednywać sobie tym sposobem u „Zvezy” znaczniejszy kredyt, a następnie narażać ją na straty. Bo trzeba wiedzieć, iż „Zveza” z otrzymanego kredytu w bankach sama, jako taka, z niego nie korzysta, lecz korzystają z niego wszystkie w „Zvezie” będące stowarzyszenia. Jest więc taki łańcuch: „Zveza” ma kredyt w bankach, stowarzyszenia związkowe, stosownie do wysokości udziałów i wkładów, mają odpowiedni kredyt w „Zvezie.” „Zadrużna Zveza” z posiadanego kredytu nie korzysta sama, ale udziela go stowarzyszeniom swoim w stosownych rozmiarach. Wobec banków „Zadrużna Zveza” odpowiedzialna jest całym swoim majątkiem, wobec Zvezy znów każde stowarzyszenie odpowiedzialne jest pieniężnie w opisanych już wyżej granicach. Jednym słowem, wprowadzona tu jest w czyn zasada: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego...

Stowarzyszenia związkowe *od udziałów pro-*

centów nie dostają. Sumy z tego osiągnane idą na utrzymanie „Zadrużnej Zvezy” tak samo, jak i wpisowe od nowoprzystępujących towarzystw. Ale dochód ten jest niewystarczający, gdy zważymy, iż pod koniec 1906 r. udziałów wzięto na 159 tysięcy koron (procent od tego wyniósł trochę więcej nad półósma tysiąca koron), a z wpisowego osiągnięto 590 koron.

Skąd się więc wziął zysk „Zadrużnej Zvezy” w ilości 19,000 koron w tym roku sprawozdawczym, z czego zostały pokryte wydatki biurowe, dochodzące 44,000 koron?

Najprostszą rzeczą byłoby te wydatki rozłożyć na stowarzyszenia i rzecz skończona, ale toby się mijało z zadaniem „Zadrużnej Zvezy;” ona bowiem postawiła sobie za cel pomagać zrzeszonym stowarzyszeniom, a nie stawać im się ciężarem.

Prawda, istnieje w ustawie punkt, który powiada, iż każde stowarzyszenie, które nie wpłaciło udziału głównego (to jest 1,000 koron) może dawać „Zvezie” co rok zapomogę w sumie 25 koron. Wyraźnie jednak powiedziane, iż tylko może i pod tym względem przymusu niema.

Najlepszym tego dowodem, iż z tego źródła wpłynęło w ciągu roku do kasy „Zvezy” wszystkiego 3,425 koron, t. j. zapomogę wniosło tylko 139 stowarzyszeń.

Dążeniem zarządu „Zadrużnej Zvezy” jest właśnie dojście do tego, aby zupełnie bez zapomóg stowarzyszeń związkowych obyć się można, aby samej sobie na utrzymanie zarobić.

Czyż to jest możliwe? Owszem, najzupełniej, a przekonamy się o tem z dalszego ciągu. Kasy pożyczkowo-oszczędnościowe, należą-

ce do „Zvezy,” mają przeważnie nadmiar leżących pieniędzy (jest to zresztą zjawisko całkiem naturalne i wszędzie się powtarzające); spółki zaś wytwórcze poszukują zwykle gotówki, która jest potrzebna do obrotu. I jedne i drugie stowarzyszenia potrzebują pomocy „Zadružnej Zvezy”: pierwsze w lokacyi zbywających kapitałów, drugie w udzieleniu *respective* wyrobieniu kredytu. „Zveza” tych pieniężnych przedsięwzięć nie podejmuje sama, ale pośredniczy między swojemi stowarzyszeniami i instytucjami bankowemi.

Tak w r. 1906 wkłady stowarzyszeń, zrobione za pośrednictwem „Zvezy,” wyniosły 6 milionów 900 tysięcy koron, a kredyt udzielony 6 milionów 800 tysięcy z okładem. Pośredniczenie w tych tranzakcyach dało „Zadružnej Zvezie” dosyć spory dochód, jeżeli się weźmie pod uwagę, że od wkładów daje ona 4 i pół procent, a kredytu udziela na 5 procent. Ten *pół* procent stanowi zysk „Zvezy,” stanowi źródło głównego jej dochodu, choć zwykle właściwie „Zveza” zarabia *ćwierć* procent, gdyż nieraz musi dzielić się tym półprocentowym zyskiem z instytucją bankową, z której usług korzysta.

Tak więc z procentów miała „Zveza” w omawianym roku sprawozdawczym 28 i pół tysiąca koron zarobku.

Zauważyć też należy, iż rewizye, jakich dokonywa „Zadružna Zveza” w związkowych stowarzyszeniach, nie są bezpłatne. Przeciętny koszt jednej rewizyi wynosi 45 koron, ale każde towarzystwo płaci za rewizye w tym stosunku, ile rewizya dni trwała. Na rewizyach jednak „Zveza” nie zarabia wcale, przeciwnie, zawsze dokłada do nich.

Rozpatrując teraz te korzyści, jakie stowarzyszenie każde ma od „Zvezy” i porównując je z kosztami, jakie związek każdy na „Zveze” ponosi, — musimy przyznać, że wydatki na „Zadrużną Zvezę,” w porównaniu z temi nieobliczalnymi wprost korzyściami, które daje, są wprost bagatelne.

Jeżeli rozwój „Zvezy” pójdzie dalej w tym samym tempie, jak to się uwydatniło w ciągle rozpatrywanym ostatnim roku sprawozdawczym, to wkrótce nietylko „Zadrużna Zveza” nie będzie potrzebowała żadnej pomocy od zrzeszonych związków, ale jeszcze co rok da znaczny zysk.

Ustawa przewiduje taką okoliczność i powiada, że wtedy zysk odkłada się jako kapitał zapasowy. Kapitałem tym stosownie do swego uznania rozporządza ogólne zebranie „Zadrużnej Zvezy,” ale o udzieleniu dywidendy od wkładów nie może być mowy, gdyż toby się sprzeciwiało zasadniczemu paragrafom. Wobec tego kapitał zapasowy może być tylko obracany na cele kulturalno-społeczne, czy to dla dobra stowarzyszonych, czy szerszego ogółu.

. . . . .

Zmierzam już ku końcowi opisu „Zadrużnej Zvezy.” Opis ten mógł się wydać niejednemu czytelnikowi zbyt drobiazgowym może, na zbyt obfitym w szczegóły — ale uczynicne to zostało z rozmysłem.

W dobrze obmyślanych i umiejętnie przeprowadzonych szczegółach jest właśnie siła takiej instytucji, która z natury rzeczy z drobnymi codziennymi sprawami ma styczność.



O wielki pomysł, o dobry projekt u nas w Polsce nie trudno; mniej łatwo już jest o wprowadzenie takiego dobrego projektu w życie, o urzeczywistnienie go; ale najtrudniej o ściśle w szczegółach celowe wewnętrzne urządzenie mechanizmu działania jakiejś instytucji czy stowarzyszenia społecznego. Do tego usystematyzowania pracy, do tego racjonalnego i najbardziej celowego ułożenia roboty czujemy wstręt, nie staje nam cierpliwości.

I dzieje się to, że wielkie instytucje filantropijne kuleją, — że inne znowu instytucje kulturalno-społeczne nie rozwijają się należycie, bo ich wewnętrzny mechanizm jest za bardzo *biurokratyczny*. Pod wyrazem *biurokratyczny* rozumiem w tym wypadku *bezmyślne przeladowanie nie nie znaczącymi formalnościami*, a pominięcie takich szczegółów, które się przyczyniają do lepszego wypełniania celu instytucji.

Weźmy choć taką napozór drobnostkę dla przykładu.

W wielu instytucjach, zwłaszcza handlowych, dla porządku przyjęte jest, iż na korespondencyach przychodzących przybija się stempel z datą przyścia i później stempel z datą odpisu, t. j. udzielenia odpowiedzi.

W „Zadrużnej Zvezie” spostrzegłem, iż tam oprócz powyższych dwóch uwag robi się jeszcze adnotacya, kto na list odpowiedział, kto żądanego wyjaśnienia udzielił.

I porządek taki ma duże znaczenie praktyczne. Bo podpis urzędnika na liście załatwionym, — jest jednocześnie jego moralnem zobowiązaniem, że sprawa została załatwiona należycie. Wobec tego żadna odpowiedź nie jest udzielona tak, aby zbyć, aby robotę zepchnąć,

lecz musi być dana z rozmysłem i zastanowieniem, a następnie żaden urzędnik nie może spychać roboty na drugiego (naprzykład podwładnego).

Musi między nimi wyrobić się prawidłowy podział pracy z dwóch następujących powodów: 1) gdyby jeden załatwiał nadmiernie dużo korespondencyi, a drugi nic, toby to nie mogło ująć uwagi zwierzchnictwa; 2) żaden nie może być wszechstronnym, a informacje muszą być udzielane bezwzględnie pewne, więc stąd potrzeba pewnej specjalizacji między urzędnikami, która tylko na dobre wyjść może zarówno pod względem dokładności, jak i szybkości załatwienia spraw.

Prawda, że przy takim postawieniu rzeczy urzędnik jakiegoś stowarzyszenia o celach społecznych nie może być biernem kółkiem mechanizmu, nie może być wyłącznie bezduszną nakręconą maszynką, której utrzymanie tyle a tyle na miesiąc kosztuje.

Tu potrzebni są ludzie, którzy nie tylko chcą, mogą i umieją pracować, ale jeszcze muszą rozumieć cel instytucji, w której pracują, muszą się z tym celem solidaryzować i muszą się starać w swej codziennej tej zmuszonej niepozornej robocie ów cel wypełniać.

Inaczej mówiąc, każdy prawie funkcyjnarusz instytucji o zadaniach społecznych musi pracować z ideą przewodnią w duszy i przytem tą samą, która jest tej instytucji hasłem.

Słuszność tego twierdzenia sprawdziła na sobie „Zadružna Zveza.” Od samego początku istnienia w łonie swych pracowników miała zawsze ludzi porządnych, pewnych, solidnych—przynajmniej takich mieć się starała,—a jednak

przez pierwsze sześć lat działalność szła niezupewnie zadowolniająco.

Przyczynił się do tego zapewne brak doświadczenia, może niedostateczna energia działania (o czem zresztą było już wyżej mówione)—ale najwięcej bezwątpienia przyczyniło się niedostateczne przejęcie się sprawą. Ludzie ci napewno zupełnie uczciwie zapracowali nawet na pobieraną pensyę, ale to jest dość na pracownika bankowego naprzykład, lecz nie wszystko, co dać z siebie powinien pracownik instytucji społecznej.

I ci trzej młodzi ludzie, których już wymieniałem, a którzy teraz prowadzą całą praktyczną działalność „Zadrużnej Zvezy,” w ciągu jednego roku tak zadziwiająco pchnęli cały „związek” naprzód nietylko dlatego, iż posiadają wiedzę fachową, energię i przedsiębiorczość, ale dlatego, — ośmielam się twierdzić, — nade wszystko, że swą pracę kochają i oddają jej nie tylko mięśnie, umysł,—ale i duszę.

Duszy w pracy! Tego wszędzie u nas potrzeba!

#### IV.

### „Ljudska Posojilnica.”

*Ludowa kasa pożyczkowa.* Naprzeciwno hotelu „Union,” w chwili gdy piszę te słowa, dochodzi już pierwszego piętra budowa solidnego gmachu, o jedenastu wielkich otworach frontowych,—wyrażając się fachowo. Duży znak zawieszony na rusztowaniu objaśnia, iż to będzie gmach „*Ljudskiej Posojilnicy.*”

Dobrze to świadczy o stanie, interesach a także i zamożności instytucji, kiedy sobie na budowę domu własnego pozwala, a szczególnie dobrze świadczy w tutejszych stosunkach, gdyż słoweńcy w przedsięwzięciach materialnych są ostrożni i mało pochopni do angażowania się w rzeczy, w których nie czują pewnego gruntu pod nogami. Dlatego w całej działalności społecznej i politycznej słoweńców tak mało kroków fałszywych...

Widziałem niedawno u jednego z działaczy książkę, zawierającą spis alfabetyczny gmin w Styryi, Karyntyi i t. d. we wszystkich prowincjach, gdzie żywioł słoweński zмага się z żywiołem niemieckim albo włoskim. Zwróciły moją uwagę różnobarwne podkreślenia wielu nazw, oznaczenia krzyżykami, kółkami i t. p.

— Widzi pan—to są gminy, o których wydaracie z pod przewagi Niemców walczymy. W tych już mamy większość i przy najbliższych wyborach wszystkie urzędy obsadzimy swoimi: Niemcy będą musieli się cofnąć, ustąpić. W tamtych też już mamy większość, ale jeszcze niezbyt ugruntowaną i zresztą dokoła jeszcze gminy czysto-niemieckie (przynajmniej nazewnątrż) — wypadnie pewno na ostateczny atak przeciw Niemczyźnie ze trzy lata poczekać. W owych gminach, co są tak falisto zakreślone, rozpoczęliśmy dopiero działalność, za lat dziesięć będziemy panami.

I w ten sposób kolejno objaśniał mi ów działacz znaczenia tych, tajemniczych narazie, podkreśleń, a przedemną przewijało się niby w najbardziej udoskonalonym kinematografie zobrazowanie systematyczności i precyzji, z jaką jest prowadzona ta cicha, spokojna, kulturalna



walka o odzyskanie od wieków przez żywoł obcy opanowanych dzielnic.

— Cóż na to niemcy i włosi?

— A no—włosci od czasu do czasu podniosą krzyk i ustępują,—niemcy rzadziej krzyczą lecz nie ustępują bez walki, ale zazwyczaj my zwyciężamy. Jest sprawa taka: wydać niemcom wojnę na całej linii,—to z pewnością narazić się na stanowczą porażkę. Obraliśmy system, jakby to powiedzieć, walczenia na raty. Jedynie dla nas dogodny.

Toć nas słoweńców wszystkiego, wszystkiego jest nie wyżej nad 1 milion 600 tysięcy, z czego 200 t. na emigracyi w Ameryce. Jedną KRAINĘ tylko zamieszkujemy niepodzielnie; — w pozostałych prowincjach zmieszani jesteśmy z ludnością niemiecką, włoską, lub węgierską. Wszędzie musimy walczyć o swe istnienie, wszędzie zapobiegać przeciw wynaradawianiu — słowem walka na trzy fronty. Czyż taki mały naród mógłby ją poprowadzić z powodzeniem atakiem frontowym, powszechnym? Nie, i dlatego trzeba się uciekać do zastosowanej już przez nas taktyki.

Nigdy o owładnięcie jakąś gminą nie wszczymy walki, gdy nie posiadamy bezwzględnej pewności zwycięstwa. Jeżeli niemcy, spostrzegłszy wzmaganie się naszych sił, chcą nas sprowokować, zajmujemy stanowisko obronne, ale walki nie przyjmujemy. I to jest tajemnica naszych powodzeń. Ludziom gorętszym wydaje się ten system zbyt oczywiście ślamazarnym, powolnym, ale my w odpowiedzi mamy jeden argument, zbijający wszystkie pretensye malkontentów-tam, gdzieśmy dzięki swemu systemowi wzięli

górze, nie było wypadku, aby nas wyparto z powrotem.

— Jedno podziwiam, iż przy swoim żywym temperamencie udało się wam nakłonić do takiego sposobu działania, który wymaga i systematyczności i jeszcze większej cierpliwości.

— Ee, wiele robi ten, co musi. Gdybyśmy nie postarali się *opanować* swego temperamentu, toby nas do reszty *opanowali* Niemcy, Włosi i Węgrzy. Niemcy wiele nam złego zrobili, ale też niejedno dobre od nich przejęliśmy, a przede wszystkim w pracy społecznej i politycznej nauczyliśmy się stosowania hasła: *Eile mit Weile*—pośpieszaj roważanie i zwolna.

Zainteresowany sprawami poruszonymi przez mego rozmówcę, zapragnąłem dowiedzieć się więcej szczegółów praktycznych z całej systematyki czy strategii tej ciekawej walki kulturalnej, a piszę o tem wszystkim w rozdziale, w którym ma być przedstawiona działalność „Ludowej kasy pożyczkowej,” bo jedna sprawa z drugą w ścisłej znajduje się łączności.

Otóż jeżeli słoweńcy postanowili w jakiejś gminie wpływ swój ugruntować czyli napowrót ją zesłoweńszczyć,—to nie zaczynają swej pracy bynajmniej od zakładania stowarzyszenia kulturalno-oświatowego, czytelnicy lub szkoły *oddzielnej*.

Gdyby rozpoczynali swą działalność od instytucji czysto oświatowych, to bezwątpienia budziłoby odrazu czujność przeciwników i niewiele zdziałałoby mogli.

Początkiem, pierwszym etapem, — zwykle jest powołanie do życia kasy pożyczkowo-oszczędnościowej.

Ludzie zaufania, naprzód upatrzeni, biorą zarząd w swoje ręce i tak są obowiązani sprawy prowadzić, aby bez jątrzenia, bez ogłaszania *urbi et orbi* swych zamiarów i zasad, nie dopuszczać przeciwników do wpływu w kasie, do jej ogarnięcia.

Jednem słowem, zadaniem każdej takiej kasy jest nie tylko ułatwienie robienia oszczędności i podtrzymywanie uczestników łatwym, tanim i na dogodnych warunkach opartym kredytem — ale jednocześnie *skupienie i wyrabianie społeczne żywiołu rodzimego*, ludności słoweńskiej danej miejscowości.

Działacze słoweńscy są zdania, że nic nie pomoże drukowanie, choćby najbardziej patryotycznych, pism i książek, jeżeli ludzie nie będą mieli zbywających pieniędzy na ich kupienie, i jeżeli nie będą na tyle uspołecznieni, żeby rozumieli pożytek takich wydawnictw.

I jedno i drugie osiąga się właśnie za pośrednictwem tych *kas z nieograniczoną wzajemną poręką*. Ta nieograniczoność wzajemnej poręki, rzecz napozór wielce niebezpieczna, ma właśnie takie wielkie znaczenie kształcące i wyrabiające społecznie: wyrabia ścisłość i oględność.

Na wsiach są zwykle zakładane kasy systemu Reiffeisena, w osadach i miasteczkach systemu Schulze—Delitscha.

Nie będę tutaj wykladał na czem polega każdy z tych systemów i czem się od siebie różnią, bo to by mnie zaprowadziło zadaleko. Zresztą systemy te w Poznańskim oddawna są zastosowane, a i w Królestwie nie obce.

Znaczenie i pożytek ich nieraz już w naszym piśmiennictwie ludowym były omawiane, a w celach popularyzacyi tych systemów kas.

wiejskich wyszły przed paru laty kilkunastokopiejkowe broszury, z których każdy, kto do tej pory systemów owych nie znał, z łatwością poinformuje się o nich dokładniej, niż bym to ja na tem miejscu mógł uczynić.

Tak więc walkę kulturalną z żywiołami wrogimi słoweńcy rozpoczynają od wyrobienia wśród siebie solidarności, od wzmożenia się materialnie, od wykształcenia w umiejętności współżycia z drugimi. A wszystkich tych ważnych rzeczy, napozór przytem bardzo trudnych, dokonują się za pomocą zwykłej, niepozornej kasy pożyczkowo-oszczędnościowej, przy pomocy zwykłego, niepozornego księdza proboszcza lub wikaryusza.

Niezawsze jednak do pomocy w prowadzeniu kasy ksiądz proboszcz czy wikaryusz się znajdzie, bo nieraz w parafii jest ksiądz-niemiec do którego słoweniec zaufania niema i wtedy ludność gminy sama sobie musi radę dawać. Ale najczęściej tak bywa, że praca kulturalna w duchu słoweńskim zaczyna pulsować dopiero z chwilą przybycia księdza-słoweńca: on daje pobudkę, on jest pierwszym kierownikiem, póki siły miejscowe się nie wyrobiją.

Taki plan działania w duchu narodowym od wzmocnienia gruntu materialnego nie jest wśród słowenców wypracowany w czasach ostatnich dopiero! — nie: od samego początku jak tylko się rozpoczął ruch stowarzyszeniowy, rozwija się on w taki właśnie sposób, że wszędzie przedewszystkiem powstają kasy pożyczkowo-oszczędnościowe, „*chranilnice i posojilnice*,” jak je słoweńcy w swym języku nazywają. Przekonywa o tem zresztą statystyka. W roku 1880 na 11 stowarzyszeń 9 było kas pożyczkowo-



oszczędnościowych; w roku 1890 na 48 stowarzyszeń kas było 41; wreszcie w roku 1900-ym na 388 zrzeszeń istniało kas 203-y. Gdybyśmy stosunek zakładanych kas do ogólnej ilości wszystkich stowarzyszeń określili procentowo, to otrzymamy następujące liczby: w r. 1880-ym—82<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, w r. 1890-ym 85<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, w r. 1900-ym 52<sup>o</sup>/<sub>o</sub>. Z tych danych jasno jest widoczne, że dopiero gdy powstała dostateczna ilość kas oszczędności i te dostatecznie się rozwinęły przystępowano dopiero do tworzenia innych rodzajów zrzeszeń. Boć ostatecznie czy założenie mleczarni spółkowej, czy jakiego stowarzyszenia wytwórczego, czy choćby spożywczego sklepu spółdzielczego lub zwykłego kółka włościańskiego—wszystko potrzebuje odrazu pewnego mniejszego lub większego kapitałiku zakładowego, którego zgromadzenie, w stosunkach wiejskich zwłaszcza, nie jest tak łatwe; pożądany też jest jaki taki kapitałik zapasowy, w którym można byłoby znaleźć oparcie w razie nieprzewidzianych niepowodzeń. A właśnie taką podporą materyjalną innych zrzeszeń wśród słowenców służy zawsze kasa pożyczkowo oszczędnościowa.

Nierzadko się zdarza nawet, iż dłużej istniejąca i dobrze postawiona kasa oszczędności nowopowstającemu stowarzyszeniu w tejże miejscowości robi pokaźny prezent „na dobry początek.”

Tak np. w lipcu 1907-go roku w Mengszu, niedaleko Lublany, miejscowości, znanej z wyrobu kapeluszy słomkowych — powstało stowarzyszenie zawodowe kapeluszników miejscowych z zamiarem wyemancypowania się od dwóch wielkich fabrykantów—hurtowników, Niemców. W tej okoliczności tamtejsza kasa oszczędności

na mocy uchwały ogólnej członków kupiła obszerny dom i ofiarowała go nowemu stowarzyszeniu. Dom kosztował kilka tysięcy koron i jest tak obszerny, że się pomieści w nim nietylko spora fabryczka kapeluszy, ale będzie również obszerne pomieszczenie na składy wyrobów gotowych, jako też lokal na czytelnię i duża izba dla drużyny muzycznej, jaka istnieje w tejże osadzie.

Rozumie się odrazu inaczej może taki związek prosperować, gdy rozpoczyna swe istnienie w takich warunkach.

O zgromadzenie kapitału obrotowego też nie trudno, bo każdy ma tam coś w kasie zaoszczędzonego, więc trzeba tylko z jednego stowarzyszenia przekazać gotówkę do drugiego i sprawa gotowa.

W tych właśnie powoli bez gorączki powstałych kasach jest tajemnica tego faktu, że w ostatniem dziesięcioleciu taki szalony ilościowo rozrost najrozmaitszych stowarzyszeń spostrzegamy i że wszystkie związki dobrze się rozwijają.

. . . . .

„*Ljudska posojilnica*” jako centrala kas pożyczkowo-oszczędnościowych powstała w roku 1895-ym, jest więc o pięć lat starsza od „Zadružnej Zvezy”; ale z chwilą powstania tego „Związku stowarzyszeń” przyłączyła się doń i dziś, jak każda najmniejsza wiejska kasa, podlega rewizyi „Zvezy.”

Wychodzi to jej tylko na dobre, gdyż tem większe przez to posiada zaufanie wśród ogółu, co się dodatnio odbija na obrotach pieniężnych, a z drugiej strony zjednoczenie się ze „Zvezą”

znakomicie rozszerzyło zakres ilościowy operacji finansowych.

Ale tylko ilościowy, bo „Ljudska posojilnica,” jako będąca centralą kas przeważnie typu Reiffeisena, jest również instytucją z *nieograniczoną* poręką i dlatego z *ograniczonym* zakresem rodzaju operacji pieniężnych.

Ta okoliczność spowodowała potrzebę stworzenia oddzielnego banku słoweńskiego, co też jesienią 1907-go roku dojdzie do skutku. Istnieją cprawda oddawna w Lublanie dwie instytucje bankowe, ale mają je dotąd w swych rękach Niemcy: więc Słowacy stracili już nadzieję rychłego wyrwania ich z rąk obcych, a tymczasem nie mając swojego banku zmuszeni byli własnymi depozytami zasilać wrogie sobie instytucje.

Ustanowieniem banku słoweńskiego zajmuje się „Zadružna Zveza,” a według obliczeń twórców tej nowej instytucji liczba kapitałów nieletnich, kościelnych i t. p., które natychmiast po założeniu będą podjęte z banków niemieckich i przeniesione tutaj dojdzie 2 i pół milionów koron. Odrazu więc jest poważny podkład do rozwinięcia działalności. Bank powstający będzie doskonałym uzupełnieniem „Ljudskiej posojilnicy” i jeszcze bardziej przyczyni się pośrednio do jej rozwinięcia, które i dotąd szło najzupełniej zadawalniająco. Świadczy o tem następujący szereg danych liczbowych obrotu, który w roku 1896-ym mało co przewyższał 1 milion koron; w dwa lata później dochodził już 14 milionów, w roku 1900-ym wynosił 24 miliony, w r. 1902-im — 32 i pół miliona, w r. 1904-ym — 46 milionów i wreszcie w roku 1906-ym przewyższył 55 milionów koron.

Dziś „Ljudska Posojilnica” ma 2199 członków, posiada z górą dwanaście milionów wkładów na 8732 książeczkach, nie licząc wkładów na rachunek bieżący. Według ustawy „Ljudska Posojilnica” ma prawo bowiem przyjmowania wkładów nie tylko od swoich członków ale i od wszystkich osób postronnych. Za wkłady daje 4 $\frac{1}{2}$  proc.

W ostatnim omawianym roku sprawozdawczym pożyczek było wydanych na sumę 11 milionów koron. Stopa procentowa od pożyczek wynosiła niemniej 5%; rozumie się, że najprzystępniejsza stopa procentowa była jedynie dla członków.

Wogóle „Ljudska Posojilnica,” jakto corocznie prawie powtarza w swoich sprawozdaniach—nie jest instytucją finansową, której chodzi o zyski:—ma głównie na celu pożytek społeczny. I to nie jest frazesem, to się uwidocznia dobitnie przy wnikięciu w szereg dorocznych sprawozdań, to widzi zresztą do pewnego stopnia każdy choć by i z tego, że przy 55 o milionowym obrocie zysk czysty wyniósł jedynie 43 tysiące koron. Własna gotowizna stowarzyszenia dochodzi do 300 tysięcy koron.

Do stowarzyszenia przystępuje przeciętnie co rok około 200 członków. Suma udziałów w roku 1906-ym wynosiła 14 tysięcy koron.

Rczwój instytucji postępuje systematycznie. Na czele jej w obecnej chwili stoi adwokat dr. Jan Szusterszicz, prezes klubu słoweńskiego w parlamencie wiedeńskim.



## V.

## „Gospodarska Zveza”

Trzecie stowarzyszenie, odgrywające doniosłe znaczenie w życiu gospodarczem słoweńców, to „*Gospodarska Zveza*.”

Jestem w pewnym kłopotcie, jak tę nazwę oddać w języku polskim: bo „*gospodarski*” po słoweńsku jest z jednej strony równoznacznikiem naszego wyrazu tego samego brzmienia, a z drugiej oznacza też pojęcie *gospodarczy* czyli *ekonomiczny*. Działalność tego związku uzasadniałaby w języku polskim i jedną i drugą nazwę, ale zdaje się, że będę bliższy intencji założycieli tego stowarzyszenia, gdy po polsku nazwę je „*Związkiem gospodarczym*.”

„Gospodarska Zveza” zarówno jak i poprzednio opisana „Ljudska posojilnica” jest w autonomicznym związku z „Zadružną Zvezą” i podlega jej rewizyi, co jest zastrzeżone ustawą.

W istocie swej „Związek gospodarczy” jest centralą dla wspólnego zakupu i sprzedaży. Zakres działalności jego określa ustawa w następujących punktach:

1) dla swoich członków na ich życzenie i rachunek kupować wszystkie produkta dla zaspokojenia gospodarskich potrzeb, a zwłaszcza sztuczne nawozy, paszę, nasiona, inwentarz żywy, maszyny, narzędzia rolnicze, *środki dla tępienia szkodników* i t. d.,—w razach wyjątkowych nabywać te rzeczy na swój własny rachunek i odstępować je członkom; — również w kupnie i sprzedaży pośredniczyć;

2) dla swoich członków na ich zlecenie i rachunek nabywać wszelkie sprzęty domowego urządzenia i użytku;

3) płody i wytwory gospodarstw włościańskich oraz wyroby swoich członków na ich obstalunek i rachunek dostarczać i sprzedawać; szczególnie zaś na rachunek członków lub swój własny podejmować się dostaw wspomnianych wytworów i wyrobów dla państwa, urzędów, stowarzyszeń i innych wielkich odbiorców; — jako też w podobnych transakcjach pośredniczyć;

4) w miarę potrzeby dla osiągnięcia zadań swoich nabywać budynki i stosować odpowiednie techniczne urządzenia, a o ileby zaszła potrzeba wyjednywać na to potrzebne koncesye;

5) zakładać filie swoje i składy.

Zakres działalności, jak widzimy, wytknięty wszechstronnie i „Gospodarska Zveza” stara go się w całości wypełnić, co też się jej najzupełniej udaje, choć jest jeszcze stowarzyszeniem stosunkowo młodem, bo dopiero 2-i rok istnienia liczącem.

„Związek gospodarczy” szczególniejsze usługi oddaje konsumom (spożywczym stowarzyszeniom spółdzielczym), mleczarniom spółkowym i wszelkiego rodzaju towarzystwom włościańskim.

Przy „Gospodarskiej Zvezie” zgrupowały się prawie wszystkie mleczarnie, gdyż zwłaszcza im to stowarzyszenie oddaje cenne usługi. Nie tylko wyszukuje odbiorców, ale zajmuje się również ściąganiem należności, tak że mleczarnie dostarczają tylko swe wytwory na stację kolejową i raz lub dwa razy na miesiąc, stosownie do układu, otrzymują z zarządu „Gospodarskiej Zvezy” należne pieniądze. Po za tem żadnych kłopotów nie mają. Nie obchodzi je nawet, czy odbiorca, któremu dają swój towar, odpowiedzialny pieniądze i wypłaca akuratnie, bo to rzecz „Gospodarskiej Zvezy,” która za swoją fatygę

bierze sobie 2 proc. prowizyi. Zauważyć jednak należy, iż w tych dwóch procentach jest już i asekuracja: gdyby więc zdarzyło się, że odbiorca zbankrutował czy z innych jakich powodów przestał płacić,—to mleczarnia nie patrzy odbiorcy ino „Zvezy,” która musi w takim wypadku całą należność pokryć ze swoich funduszków. Mleczarnia stratna być nie może.

Ciekawą też jest rzeczą, iż do „Gospodarskiej Zvezy” należą również niektóre kasy pożyczkowo-oszczędnościowe. Jak objaśniał mi jeden z członków zarządu, należą kasy z tych miejscowości, gdzie niema stowarzyszeń spożywczych czy innych związków gospodarczych. Otóż członkowie tych kas, korzystając z tego, iż zrzeszenie w nich pozwala im na wspólną działalność, za pośrednictwem „Gospodarskiej Zvezy” parę razy do roku robią hurtowe zakupy potrzebnych przedmiotów czy produktów.

Rozumie się w tych przedsięwzięciach handlowych kasy nie biorą udziału jako stowarzyszenia, ale tylko jako środowiska skupiające ludzi i przez to ułatwiające im podejmowanie zbiorowych transakcyi.

Lublańska „Gospodarska Zveza” z końcem roku 1906-go liczyła 464 członków zwykłych i 68 członków—stowarzyszeń. Tak podaje sprawozdanie, choć zapewniał mi prokurent „Zvezy,” że stowarzyszeń należy około *dwustu*, tylko większość przystąpiła za pośrednictwem pojedynczych członków swoich zarządów.

Bo jest sprawa tego rodzaju: według ustawy członkami „Gospodarskiej Zvezy” mogą być i stowarzyszenia i pojedyncze osoby.

Wpisowe i dla jednych i drugich jest jednakowe: wynosi 1 koronę—ale udziały są różne.

Dla stowarzyszeń udziały są po 20 koron, dla pojedynczych osób po 2 korony; przyczem stowarzyszenia mogą nabywać i więcej udziałów lecz przestrzegając stosunku *jeden* udział na każdym 30 członków; — osoby zaś prywatne mogą kupować tyle udziałów, ile im pozwoli zwierzchnictwo stowarzyszenia, ale w każdym razie nie więcej po nad 50 sztuk.

Otóż stowarzyszeniom mniej zasobnym dogodniej jest przystępować do „Zvezy” jedynie za pośrednictwem pojedynczych swoich członków i mniejsze przez to ponosić ciężary. Z tego to właśnie względu faktyczna ilość będących w „Związku gospodarczym” stowarzyszeń większa jest od wykazanej sprawozdaniem,—w każdym razie ogólna liczba i jednego i drugiego rodzaju członków, w końcu roku 1906-go wynosiła 5 3 2.

W odróżnieniu od „Zadružnej Zvezy” udziały „Gospodarskiej Zvezy” procentują się, ale nie wyżej po nad 5% rocznie.

Powyższe ograniczenia co do posiadania liczby udziałów są poczynione w ustawie ze względu na zapewnienie faktycznej odpowiedzialności pieniężnej członków. „Związek gospodarczy” jest bowiem stowarzyszeniem z ograniczoną poręką i każdy, posiadający jeden udział za 20 koron, odpowiada swem mieniem do wysokości 200 koron, posiadacz zaś udziału 2 koronowego odpowiada do 20 koron. Rzecz prosta, iż trzeba przestrzegać aby odpowiedzialność była rzeczywistą a nie papierową.

Na to jest we wszystkich stowarzyszeniach słoweńskich zwracana baczna uwaga, boć wartość społeczną i ekonomiczną mogą mieć w narodzie tylko związki, oparte na solidnych pod-



stawach materialnych i pod każdym względem przestrzegające solidności w działaniu.

Ten wzgląd rozumnej i praktycznej ostrożności kazał też postawić w ustawie jeszcze jeden warunek dla chcących przystąpić stowarzyszeń: oto do „Gospodarskiej Zvezy” mogą należeć tylko te związki, które się poddają rewizyi „Zadružnej Zvezy.”

Kto się nie dotykał praktycznie działalności wszelkich stowarzyszeń spółdzielczych czy spółkowych, temu się podobne ograniczenia wydawać mogą ciasnym biurokratyzmem. Każdy jednak, kto się bliżej przyjrzał podobnym związkom, a zwłaszcza nie tym, które dobrze idą, ale tym, które kuleją i upadają—ten bezwarunkowo przyzna, iż pewne karby czy ściśle zakreślone granice, w jakich zamykać się winna działalność stowarzyszeń—są niezbędne. Również niezbędny jest pewien cenzus czy probierz, któryby jasno stawiał i wyrażał te kwalifikacye, jakie każde zrzeszenie społeczno-gospodarcze prawidłowo działające posiadać winno.

Ma to szczególniejsze znaczenie dla wszelkich stowarzyszeń, centralizujących w sobie szeregi pomniejszych towarzystw.

Jeżeli bowiem dla pojedynczego stowarzyszenia prawidłowość działania, solidność ekonomiczna jest jego własną sprawą prywatną, — to dla każdego związku stowarzyszeń sprawy te mają znaczenie ogólne.

To jest jeżeli pojedyncze luzem stojące stowarzyszenie z powodu złej działalności czy wadliwego urządzenia upadnie — to ostatecznie samo na tem cierpi.

Zmienia się jednak postać rzeczy, gdy przez nieogłędne przyjmowanie, (bez stawiania pewne-

go cenzusu) dostanie się kilka źle funkcyjnych towarzystw do pewnego związku stowarzyszeń; — toć przecież wtedy upadek kilku wadliwych towarzystw może zachwiać całym centralnym związkiem i wywołać nieobliczalne straty dla ogółu.

To są właśnie przyczyny, które chyba dostatecznie uzasadniają konieczność pewnych ostrożności przy przyjmowaniu stowarzyszeń do związków stowarzyszeń t. j. do centrali, obejmujących pewną grupę jednakowych zrzeszeń.

Na zakończenie wypadnie jeszcze zaznaczyć, że według ustawy „Gospodarskiej Zvezy” każdy udział 20-o koronowy daje prawo do 10 głosów na zebraniach ogólnych stowarzyszenia.

Co zaś do podziału zysków to jest stosowana następująca zasada: przedewszystkiem 20 — 30 proc. odkłada się na kapitał zapasowy i czyni się to corocznie dotąd, dopóki ten nie dojdzie do wysokości połowy sumy wpłaconych udziałów; potem należy do rezerwy odkładać tylko 5—10 proc. zysku; — następnie conajmniej 20 proc. winno iść na *fundusz emerytalny dla pracujących w stowarzyszeniu*, a reszta dopiero na oprocentowanie udziałów. Jeżeli jeszcze po wyznaczeniu najwyższego, przez ustawę przewidzianego, procentu pozostanie jaka kwota, to ogólne zebranie może nią rozporządzać dowolnie.

I jeszcze jedno: ustawa wzbrania stowarzyszeniu podejmowania wszelkich niepewnych spekulacyjnych przedsiębiorstw. Przestrzegania tego punktu we własnym interesie pilnują sami stowarzyszeni. Zresztą „Gospodarska Zveza” nie potrzebuje się uganiać za spekulacyami, bo i bez tego obrót ma wielki, który w omawianym roku sprawozdawczym dochodził 8 milionów koron.

## VI. Oświata.

Któregoś dnia rzuciłem znajomym słowencom pytanie:

— Jakżeście doszli do tego, że macie taki niewielki procent analfabetów?

— A, bardzo prosto!

Doprawdy trochę mię rozdrażniła ta odpowiedź, o co bowiem nie zapytałem, zawsze przede wszystkim dowiadywałem się, że to i owo zrobiło się „bardzo prosto.”!!!

No, ale był to tylko pierwszy odruch myśli człowieka, który spodziewał się usłyszeć, jakąś zajmującą opowieść o wielkich wysiłkach i zabiegach, a tymczasem otrzymuje lakoniczne zapewnienie, że stało się to bardzo prosto. Opanowałem się więc niebawem, bo faktycznie rozdrażniać się nie było czego, a z drugiej znów strony słowenicy do najważniejszych przedsięwzięć tak się biorą po prostu bez dekoracyjnych ceremonii, że ostatecznie rzeczywiście wielkich rzeczy dokonywują bardzo prosto.

Wysunie życie jakąś potrzebę społeczną, to kto żyje, a chleba jeść darmo nie lubi, zakasuje rękawy i bierze się do pracy. Dziś ta praca

już jest nieco łatwiejsza, odbywa się w pomyślniejszych warunkach, ale do niedawna, póki sobie słoweńcy sami nie wywalczyli tych pomyślniejszych warunków, zaprawdę niełatwa to była robota. Bynajmniej nie łatwiejsza niż w naszych stosunkach. Słoweńscy działacze musieli walczyć nie tylko z wrogim rządem niemieckim ale i z własnymi zniemczonymi już w całości lub częściowo rodakami. Ci przeważnie porzucili swą narodowość — nie można powiedzieć „dla chleba,” gdyż ten i zostając słoweńcami by mieli, — ale „dla bułki albo ciastka,” więc ruch narodowy nie był im zbyt na rękę, budził sumienia, zakłócał miły spokój dobrze wypełnionych żołądków, wymagał aby do czasu przynajmniej wyrzekać się ciastek i wracać do zwykłego chleba. Trudne więc mieli zadanie działacze słoweńscy: jednych trzeba było budzić do życia, drugich z fałszywych dróg zawracać, a przytem wszystkim ciągle mieć się na baczności przeciw silnemu wrogowi zewnętrznemu.

A jednak dokonali swego bez względu na ciężkie i wrogie warunki.

Nie pasując się na bohaterów, bo to może być bardzo przyjemne dla pojedynczych jednostek, ale mało pożyteczne dla ogółu — pracowali wszyscy, kto mógł i ile mógł, pracowali bez wytchnienia nie tylko w pocie czoła, ale często i przy krwawieniu serc ranionych; niejeden zamordował się w robocie, mając w nagrodę cześć pośmiertną jedynie, a wielu i tego nie zaznało. Jednym słowem pracowali po bohatersku, nie pasując się na bohaterów.

I kto wie, czy to nie jest jedna z tajemnic powodzenia odrodzenia słoweńców, bo doprawdy



inaczej trudno sobie wyjaśnić ten świetlany objaw w życiu tak drobnego narodu.

.....

Tak więc wyższość oświaty w porównaniu z sąsiednią nawet ludnością niemiecką słowenicy zdobyli *bardzo prosto*.

Oto księża, którzy stali na czele ruchu narodowego, ruch ten rozumie się oparli na podłożu wiary katolickiej. Chcąc zaś, aby ich praca nad odrodzeniem nie poszła na marne, starali się wynaleźć sposób na utrwalenie rozbudzanego uświadczenia narodowego i znaleźli go w oświacie. Środka tego jęli się wszyscy i mniej i więcej narodowo usposobieni, bo on nietylko pomagał do utrwalenia świadomości narodowej, ale też ogromnie przyczyniał się do pogłębienia ducha religijnego ludu.

Przy katechizacyi więc dzieci, — księża, dbając o gruntowne zapoznanie młodocianych serc i umysłów z prawdami wiary, — uczyli je czytać, pisać, rachować. A później dawali im do ręki książkę religijną, która dopełniała nauki ustne.

Inni pamiętali znów, że umysł rozbudzony przez posiadanie umiejętności czytania nie zadowolni się samą książką religijną, że sięgnie i po inną; — postarano się tedy, aby i ta inna była również dobrą i taną. Zakładano więc drukarnie spółkowe i spółdzielcze, tworzono stowarzyszenia dla rozpowszechnienia uczciwych książek, po dejmowano liczne wydawnictwa dla młodzieży i starszych — słowem starano się rozbudzony głód wiedzy nietylko zaspokoić, ale i apetyty zdrowe w dobrym kierunku rozbudzać.

Dalszy ciąg, jak mówią słoweńcy, sam się zrobił: ci, których czytać nauczyli księża przy katechizacyi, mając później dostateczną ilość bajecznie tanich wydawnictw naukowych, rozszerzyli swoje horyzonty umysłowe, zrozumieli potrzebę oświaty i już nie obruszali się na wydatki szkolne, lecz sami o ustanowienie szkół dbać poczęli. Dzieci tych nauczonych przez księży, uczyły się już w szkołach.

W Austrii bowiem od dłuższego już czasu prawnie istnieje nauka obowiązkowa, ale prawo to niezbyt ściśle jest przestrzegane i wszystko ostatecznie od władz miejscowych, krajowych, zależy; a z drugiej strony zależy też od samej ludności, która doskonale może wpływać na swoje władze konstytucyjne, aby ta lub inna sprawa gorliwiej była w życie wprowadzana. Słoweńcy więc, zachęceni przez swe duchowieństwo do oświaty, postarali się później, aby w ich kraju prawo o nauczaniu powszechnem było ściślej wykonywane i dlatego dziś mniejszy między nimi procent analfabetów niż w innych ościennych krajach monarchii austryackiej. Prawda? jak to wszystko *prosto i samo się zrobiło...*

Żeby to u nas wszyscy ludzie chcieli tak pomagać temu, co się może tak samo prosto robić!

.....  
 Nie chwaliłem się, ile analfabetów mamy w Galicyi lub Królestwie, bo tu opinia o naszej kulturze jest dosyć wysoka, — ale chciałem się pochwalić naszym Promykiem, jego metodą nauczania, jego tablicami do obrazowej nauki czytania i jego heroicznym projektem zgnięcia analfabetyzmu przez rozestanie po kraju szeregu ludzi z kompletami tych tablic

i organizowania po wsiach zbiorowych wykładów pierwszych tajników słowa drukowanego i pisanego.

Słuchano mię uważnie z zupełną aprobatą, ale gdym skończył opowieść i chciałem z tryumfującą nieco miną potoczyć okiem po słuchaczach swoich, — jeden z nich niespodziewanie zrobił uwagę:

— Ale czyście pomyśleli o tem naprzód, żeby drukarnie biskupie przygotowały odpowiednią ilość wszelkiego rodzaju wydawnictw, bo przecież obudzi się odrazu głód wiadomości w szerokich masach?

— Jakie biskupie drukarnie? — wyrwało mi się mimowoli.

— No nie wiem, mozem się źle wyraził, może je u was nazywają konsystorskiemi, czy też może są w innym więcej luźnym związku z władzą dyecezyalną...

Mina moja przy tych słowach niespodziewanego interpelanta musiała być dosyć wymowna, bo nie czekając na moją odpowiedź, zawołał:

— Jakto czyż u was niema podobnych drukarni? Ani katolickich spółkowych towarzystw drukarsko-wydawniczych?

— Nie, t. j. nie słyszałem o ich istnieniu.

A po chwili dla zatarcia złego wrażenia, zacząłem opowiadać, że wśród związków robotników chrześcijańskich powstał projekt założenia drukarni współdzielczej, że zapewne wkrótce ta sprawa urzeczywistni się; na razie tylko brak środków stoi na przeszkodzie i t. d. i t. d. wytęczałem przyszłość dla osłonięcia ciemnej teraźniejszości.

Ale niebardzo mi się to udawało...

Mój rozmówca obruszył się nie na żarty:

— Jakto na taką rzecz, jak założenie katolickiej drukarni trzeba czekać dopiero na środki pieniężne? Toć powinny momentalnie się znaleźć! Przecież do tego nie potrzeba milionów; 50 tysięcy koron (20 tysięcy rubli) na przyzwoite urządzenie większej nawet drukarni wystarczy. Większe i droższe maszyny każda firma zagraniczna da na rozpłaty takiej drukarni, za którą stoi cały związek robotników.

A żeby zaś roboty dla takiej drukarni mogło zbraknąć w Warszawie, to ja choć nie znam bliżej waszych stosunków, wprost sobie tego nie wyobrażam. Przecież macie różne pisma, różne wydawnictwa katolickie, niech trzy czwarte ich czy połowa wreszcie przeniesie się do nowopowstałej drukarni „swojej” — a już istnienie jej ma podstawy! No, a przecież wszelkie wydawnictwa religijne i kościelne z porządku rzeczy kierowałyby się do tejże drukarni.

Czyż można było co zarzucić tym wywodom?

Można było conajwyżej odparować je różnymi mniej lub więcej sztucznymi argumentami, ale ponieważ bezprodukcyjna robota nie jest w moim guście, więc zamiast tego woląłem się poinformować u mojego rozmówcy co do działalności różnych słoweńskich instytucji oświatowych.

Z toku rozmowy wypadło, iż najsampierw omawialiśmy:

A.) „*Katoliszko tiskorno drusztvo.*” „Katolickie stowarzyszenie drukarskie” w Lublanie wyłonilo się przed laty dwudziestu z dawniej już założonej „Księgarni Katolickiej.”



Początki były skromne: na wiosnę 1879-go roku kilka osób, dbających o szerzenie oświaty w duchu religijnym i narodowym postanowiło założyć spółkową „Księgarnię katolicką.” W doprowadzeniu tej sprawy do skutku najwięcej się trudził ks. Józef Jericz i początki zarówno księgarni jak i drukarni katolickiej ściśle są związane z jego życiem.

Ks. Józef Jericz ur. w roku 1823 święcenia kapłańskie otrzymał w roku 1847-ym, w roku 1859-ym został proboszczem, a po 20 latach wyczerpującego siły duszpasterzowania w górach z powodu nadwątłego zdrowia wyszedł do emerytury i osiadł w Lublanie. Ale czynna natura jego nie pozwoliła mu siedzieć próżniaczo: ciało było słabe, ale duch niez mordowany i ten pchał go do pracy dla dobra ogółu. Wszedł więc ks. Jericz do różnych instytucji społecznych, a gdy myśl założenia „Księgarni Katolickiej” powstała, on był pierwszy, co skutecznie tej myśli podjął.

Skupiono resztki księgarni Ottokara Klerra niejakiego, wystarano się o nową koncesyę na nazwisko ks. Jericza, dokompletowano asortyment książek i dnia 1 sierpnia 1879-go roku w gmachu, sąsiadującym z kościołem katedralnym, otworzono nową księgarnię. Niewielka to było księgarenka; wszystkich wydawnictw potrzebnych dostarczała jej pewna księgarnia z Gracu. Ale niebawem zaczyna krzepnąć, wzmagać się w siły. Wchodzi tedy w bezpośrednie stosunki z wydawcami w Wiedniu i Lipsku, zdobywa się nawet na własnych komisjonerów w obydwóch miastach. Wreszcie „Księgarnia Katolicka” zaczyna występować w roli nakładcy: początkowo książek do nabożeństwa i różnych

wydawnictw religijnych, później ksiązek świeckich beletrystycznych i naukowych zarówno dla inteligencji, jak dla ludu i młodzieży. Poczęła wydawać też homiletyczny miesięcznik dla księży pod tytułem „Duchowni Pastir.”

Z chwilą jednak rozpoczęcia wydawnictw „Księgarnia Katolicka” poczuła potrzebę powołania do życia drukarni własnej. Potrzebie tej zaradził również niezmordowany ks. Jericz i w roku 1883 im obok księgarni powstaje „Drukarnia Katolicka.”

Z biegiem czasu ks. Jericz, czując upadek sił, a obawiając się, żeby dzieła przezeń podjęte nie upadły razem z jego śmiercią, poczyną krzątać się koło założenia „Katolickiego stowarzyszenia drukarskiego,” któreby wzięło pod swą opiekę i drukarnię i księgarnię. Życzeniom zacnego działacza stało się zadość, stowarzyszenie takie powstało w roku 1887-ym, a on sam, wyczerpany ostatecznie, zmarł w roku następnym, 65-ym swego pracowitego żywota.

Dzieło ks. Jericza rozpoczęte pod hasłem: „*pro Deo et Patria*” po śmierci jego rozszerzało się coraz dalej. Dziś księgarnia zajmuje cały parter domu w którym początkowo w 4 pokojach się mieściła, a drukarnia dobudowuje na swojej posesyi dom frontowy i oficyny, bo się nie może już pomieścić w dotychczasowym lokalu.

Księgarnia, oprócz całego szeregu najrozmaitszych wydawnictw, rozpoczęła obecnie dwa ciągowe wydawnictwa: jedno dla inteligencji pod tytułem „*Leposlovna knjižnica*” (Książnica belletrystyczna) w której między innymi wyszło właśnie tłumaczenie powieści Prusa „Placówka” po słoweńsku „*Stráža*,”—drugie zaś dla sfer naj-

szerszych pod tytułem „*Ljudska knjižnica*” (Książnica ludowa) w której wśród wielu innych utworów różnych autorów wyszedł przekład Sienkiewiczowskiego „Bartka z wycieczki” po słoweńsku „*Jernacz Zmagovacz.*”

Co zaś do drukarni—to ta, idąc za postępem i rozwojem sztuki drukarskiej, zaopatrzona jest we wszystkie nowości zarówno w dziale pisma, ornamentacyi jako też i maszyn: posiada między innymi dwa najnowsze typu linotypy t. j. maszyny, zastępujące pracę zecera (składacza). Drukarnia drukuje cały szereg pism, stojących na gruncie katolickim, jako to: dziennik „*Slovenec,*” tygodniki „*Domoljub*” i „*Nasza moc,*” miesięcznik literacki „*Dom in Svet*” i t. d. i t. d. Wykonywa też ilustracye różnobarwne jak obrazki święte, pocztówki ilustrowane i inne podobne roboty.

A zwiedzając urządzenie drukarni i przypatrując się robotom, jakie z pod tłoczni jej wychodzą, przyznać muszę, iż nie ustępują one pod względem smaku i czystości wykonania najpierwszym zakładom europejskim.

W ostatnich czasach „*Katolisčko tiskovno drusstvo*” założyło też własną introligatornię; ma to szczególnie znaczenie dla wydawnictw szkolnych, które przy posiadaniu własnej introligatorni mogą być tanio a trwale oprawne.

„*Katolickie stowarzyszenie drukarskie*” na zasadzie pierwszego punktu swojej ustawy znajduje się pod protektoratem biskupa lublańskiego, którym obecnie jest J. E. ks. dr. Antoni Bonaventura Jeglicz (ur. 1850-go wyświęcony 1873-go, został biskupem 1898-go.)

Ustawa tego stowarzyszenia niczem się specjalnie nie wyróżnia, przytaczanie więc jej

w całości nie miałyby większego znaczenia; porzestaną tedy na paru ważniejszych wyjątkach.

§ 2. Celem stowarzyszenia jest wydawanie i rozpowszechnianie dobrych książek oraz wszelkich druków, jako też dopomaganie czasopismom w duchu religijno-narodowym.

§ 4. Środki dla spełniania swych celów stowarzyszenie osiąga oprócz zysków z drukarni i księgarni z następujących jeszcze źródeł: z ofiar dobrowolnych, wkładów założycieli i rocznych opłat członków. Kto złoży jednorazowo 100 guldenów (80 rb.) zostaje *dobroczyńcą* stowarzyszenia; kto wpłaci 20 guldenów (16 rb.) dostaje miano *członka założyciela*; kto rocznie opłaca 1 guldena staje się *zwyczajnym* członkiem. O przyjęciu każdego rodzaju członka rozstrzyga zarząd.

§ 6. O ile na to będzie pozwalał stan pieniężny i zarząd odpowiednio postanowi, członkowie stowarzyszenia będą mogli otrzymywać wydawnictwa po zniżonej cenie.

§ 8. Działalnością stowarzyszenia kieruje zarząd, złożony z *piętnastu* członków, z których *czternastu* wybiera ogólne zebranie a *piętnastego* mianuje protektor stowarzyszenia t. j. biskup lublański.

W roku 1905 ym stowarzyszenie liczyło 448 członków, w tem 52 dobroczyńców i 113 członków założycieli. Z dawniejszych dobroczyńców do wspomnianego roku zmarło 43-ch.

Oprócz Lublany podobne drukarnie katolickie istnieją jeszcze i w kilku innych miastach słoweńskich. I wszystkie się rozwijają, wszystkie mają dość roboty.

Trzeba zaś wziąć pod uwagę, że i partya liberalna ma też kilka związkowych drukarni,



a oprócz tego istnieje cały szereg drukarni prywatnych.

Gdy tę mnogość drukarni zestawimy z liczbą mieszkańców, dochodzącą we wszystkich dzielnicach, z amerykańskimi włącznie, do 1 miliona 600 tysięcy—to będziemy musieli przyznać, że słoweńcy bardzo usilnie pracują nad szerzeniem oświaty u siebie.

W chwili obecnej „Księgarnia Katolicka” w Lublanie, spełniając polecenie trzeciego zjazdu katolickiego, odbytego w temże mieście, wydała katalog wszystkich, jakie istnieją w handlu, książek słoweńskich, które ze swego stanowiska polecić może.

Egzemplarz tego pożytecznego katalogu, o jakim by i u nas pomyśleć warto było, został mi łaskawie przesłany.

Przeglądając go przekonałem się, iż z naszej literatury słoweńcy przyswoili sobie Sienkiewicza prawie w całości, po za tem pojedyncze utwory Czajkowskiego, Grudzińskiego, Prusa, Fredry i na tem koniec. To i owo znajdzie się jeszcze w rocznikach pism różnych, ale naogół biorąc nasze piśmiennictwo a zwłaszcza nasza poezya jest dla słoweńców ziemią nieznaną.

Dodać wreszcie należy, iż przy księgarni znajduje się również antykwarnia, posiadająca na składzie głównie dzieła naukowe i dawne druki słoweńskie.

#### B.) *Družba sv. Mohorja.*

Gdym zwiedzał w Lublanie zakład wychowawczy dla niezamożnych, tak zwane „Collegium Marianum,” jedna z sióstr nauczycielek zakładu nie omieszkała pochwalić się, że w wielkim księgozbiornie, jaki posiadają, znajdują się też

książki polskie, a na dowód podała mi z półki ks. Jana Badeniego T. J. pod tytułem „*Między słowianami.*” (Kraków, 1893).

Przerzucając je przekonałem się, iż przed laty ks. Badeni podróżował tym samym prawie szlakiem po południowej słowiańszczyźnie, co ja obecnie.

Przy późniejszym szczegółowszem przegłądaniu książki zaciekało mię to, co pisał o „Stowarzyszeniu świętego Mohora” (Hermagorasa).

O Stowarzyszeniu tem słyszałem już to i owo, ale opis ks. Badeniego skłonił mię do natychmiastowego bliższego zapoznania się z działalnością tego niezwykłego związku oświatowego.

Nim jednak podam to, co sam zebrać zdołałem o rzeczonym stowarzyszeniu, uprzednio pozwolę sobie w streszczeniu przytoczyć urywek z dzieła ks. Badeniego:

— „Družba sv. Mohorja” istnieje w Celowcu (Klagenfurt) w Karyntyi. Stowarzyszenie to powstało głównie dzięki zabiegom wielkiego słoweńskiego patryoty, biskupa A. M. Slomska, w celu popularyzowania nauki, dostarczania słoweńskiej ludności pożytecznych książek w ojczystym języku, za możliwie najtańszą cenę.

W pierwszym roku istnienia „Družba” liczyła 785 członków, z których każdy płacił 3 korony (8 złotych) rocznej wkładki, a wzajemian otrzymywać miał pięć książeczek treści religijnej, historycznej, beletrystycznej.

Pierwsze lata szło jak po grudzie; liczba członków to zwiększała się, to znów zmniejszała. Tak np. w roku 1855-ym rozsyłano książki 947 członkom, w roku 1858-ym tylko 336, w rok później 264.

Towarzystwo chyliło się do upadku i byłoby smutnie zakończyło swoje istnienie, gdyby ówczesny jego zarząd mniej miał śmiałości i zawahał się przed użyciem środków energicznych, które mogły śmierć stowarzyszenia przyspieszyć, ale mogły też zażegnać śmiertelną chorobę.

Choć, a raczej dlatego, że zakładowy kapitał stopniał z 1200 na 467 guldenów (gulden 5 zł. 10 gr.), *zniżono* roczną wkładkę z trzech na *dwie* korony (5 zł. 10 gr.); autorom zaś wydawanych książek, którzy dotąd samą tylko sławą i słownemi podziękowaniami musieli się zadawałniać, postanowiono i zaczęto istotnie *placić* najmniej 10 guldenów (8 rb.) za arkusz druku. Hazardowne te finansowe reformy uwieńczone zostały najpomyślniejszym skutkiem. Pięćdziesiąt centów (2 zł. 20 gr. = 40 kop.) stanowi poważną cyfrę w budżecie słoweńskiego chłopca; poważniejszą jeszcze cyfrę stanowi 10, a cóż dopiero 20 guldenów, które od lat kilku za arkusz druku dostawać zaczęły, w budżecie słoweńskiego autora; to też odrazu, jakby na czarodziejskie zaklęcie, liczba mających mniej odtąd płacić czytelników, i mających dostawać pewną zapłatę autorów, pomnożyła się w czwórnasób.

Już r. 1860-go należało do „Stowarzyszenia” 1082 rocznych członków, a 34 dożywotnich, płacących jednorazową wkładkę 15 guldenów (12 rubli). W dziesięć lat później liczba członków rocznych doszła do 17,027, nowych członków dożywotnich przystąpiło 390; dochód wynosił 39,364 guldenów, rozchód 32,753 guldeny. Do roku 1885-go zapisało się w szeregi „Stowarzyszenia” około 30 tysięcy członków rocznych; w roku 1891-ym należało doń około 50 tysięcy, cyfra

istotnie w danych okolicznościach zadziwiająca, i która ze względu na to, że sami słoweńcy mówią o sobie jako o małym, półtoramilionowym narodzie, o wiele już nawet wzrosnąć nie może.

Co do wewnętrznej organizacyi „Stowarzyszenia” ks. Badeni zebrał następujące wiadomości:

— „Obowiązkiem sekretarza” „Družby” prowadzić korespondencyę, czytać nadesłane manuskrypty, przygotowywać je do druku, pilnować korekty. Za to wszystko pobiera 300 guldenów rocznie (240 rubli). Dyrektor „Družby” ma stanowisko niezależne: bierze 2000 guldenów (1600 rubli) pensyi, ale czas jego wypełniony administracyą majątku „Stowarzyszenia,” zarządem drukarni i dwóch prywatnym lokatorom wynajmowanych domów, które obecnie „Družba” w Celowcu posiada; czasem arcyniemilnymi sporami z niechętnym słoweńcom niemieckim magistratem. Zarząd, stanowiący pewnego rodzaju radę nadzorczą, składa się z dziewięciu w zasadzie niepłatnych członków: trzech świeckich i sześciu księży.

Wogóle powodzenie i rozwój „Stowarzyszenia,” zawdzięczać głównie należy księżom. Proboszczowie są skarbnikami „Družby” każdy w swej parafii; przypominają z ambony, iż czas płacić składki. „Proboszczowie przysyłają do biura „Stowarzyszenia” pieniądze od całej parafii, odbierają też książki dla całej parafii i zajmują się ich doręczeniem członkom.”

Tak było przed laty 16-tu gdy ks. Badeni podróżował wśród słoweńców. A dziś?

Dziś „Družba sv. Mohorja” rozwinęła się tak, jak sami słoweńcy ani przypuszczać śmieli: sprawozdanie za rok 1904—1905 (t. j. od 1 sierp-

*Wśród słoweńców.*



nia 1904-go do 1 sierpnia 1905-go) wykazuje 83,572 członków, w tem 1608 dożywotnich. „Stowarzyszenie” obecnie członkom swoim, oprócz pięciu już nie książeczek ale w całym znaczeniu tego słowa książek, daje również duży kalendarz o 160+64 stronicach wielkiego formatu z działem naukowo-beletrystycznym obficie ilustrowanym. Słowem każdy co rok za 80 kop. otrzymuje 6 obszernych książek.

Tym sposobem w samym tylko 1906-ym roku „Družba” rzuciła w naród 501,432 książki, a od czasu swego założenia do roku 1907-go „Stowarzyszenie” ogółem ofiarowało swoim członkom 10,309,060 książek—wyraźnie *dziesięć milionów trzysta dziewięć tysięcy sześćdziesiąt* tomów.

To są liczby, którymi poszczycićby się mógł każdy największy choćby naród, a cóż dopiero tacy sobie półtoramilionowi słoweńcy!

Ale oni nie tracą czasu na przechwalanie się,—tylko pracują dalej, aby dojść do 100 tysięcy członków.

Kalendarz „Družby sv. Mohorja” podaje z roku na rok imienną listę wszystkich swoich członków.

Cóż w tem zajmującego?

A jednak to suche wyliczenie jakże pouczające! Z niego dobitnie okazuje się, że książki „Stowarzyszenia” wszędzie idą za słoweńcami, gdziekolwiek oni się znajdują, że są tą nicią, co ich mimo wyemigrowania w obce kraje z ziemią rodzinną łączy, są tem echem które im ojczyznę porzuconą na pamięć przywołuje.

Nie będę przytaczał danych z miejscowości słoweńskich lub sąsiadujących z nimi jak Dalmacya, Chorwacya, Sławonia, Bośnia, i t. d., bo tam książki „Družby” idą tysiącami; ale wezmę

inne kraje europejskie. Otóż z wykazu omawianego widać, iż książki „Družby” rozsyłane są do 74 miast Europy, między innymi 3 komplety do Konstantynopola i 2 do naszego Krakowa.

Ale nietylko po Europie całej rozchodzą się książki, idą one przez morza i oceany do Ameryki, Afryki i Azji—słowem na świat cały.

Jak spis wykazuje wydawnictwa „Družby sw. Mohora” są posyłane do 68 miejscowości Ameryki Północnej i 6-u Ameryki Południowej. Najwięcej książek idzie do Nowego-Yorku (461 kompletów) i do Clevelandu (142 komplety).

W Afryce książki „Družby” rozpowszechnione są w 7 miejscowościach (do Aleksandryi idzie 196 kompletów, a do Kairu—44), wreszcie w Azji idą książki do dwóch miast: Jerozolimy i King-gja-dżuan, kolonia misyjna w Chinach.

Wśród 6 książek, jakie każdy członek družby otrzymał w roku ubiegłym, na uwagę naszą zasługuje dosyć obficie ilustrowany tom p. t. „*Pri severnich slovanih.*” *Potopis. Spisal Josip Lavtižar* („Wśród słowian północnych.” Opis podróży. Napisał Józef Lavtižar).

W książce tej podany jest opis podróży po Czechach, Morawach i Galicyi. Autor zapuszcza się też nieco do Królestwa i podaje opis Częstochowy, Jasnej Góry i cudownego obrazu Matki Boskiej. Całość napisana jest barwnie i przedstawia się sympatycznie.

Że naogół biorąc „Družba” daje swym członkom nie lichą bibułę, ale książki rzeczywiście dobre,—to najlepszy dowód, iż każda książka drukowana jest w większej ilości niż wynosi liczba członków i znajduje chętnych nabywców w księgarniach; przy tem nabywców w takiej liczbie, że wiele wydawnictw wychodzi extra

wyłącznie dla handlu księgarskiego w drugim wydaniu.

Dziś „Družba sv. Mohorja” stoi na tej stopie rozwoju materyalnego, że nietylko może płacić honorarya autorskie, ale nawet dla pozyskania dobrych dzieł dla swoich wydawnictw urządza umyślne konkursy z wcale wysokimi nagrodami, zwłaszcza na stosunki słoweńskie. Tak naprzykład przed rokiem był konkurs na dwie powieści na tle obyczajowem lub historycznem z nagrodami 3000 i 1500 koron (1200 i 600 rubli).

No, ale też dzisiaj „Družba” rozporządza innymi środkami materyalnymi niż w pierwszych latach po swoim założeniu. Jak wykazuje sprawozdanie za czas od 1 sierpnia 1904-go do 1 sierp. 1905 obrót roczny w tym czasie wyniósł 429 tysięcy koron. W rubryce dochodów za ten sam okres zwracają uwagę następujące pozycye: Składki członków rocznych 163,928 koron; procent od kapitałów „Družby” 3104 korony; ze sprzedaży książek z lat dawniejszych 4143 koron; za okładki do książek robione na żądanie członków 31,757 koron; z zysków drukarni 11,556 koron i t. d.

Pozycye te rzucają światło na finansową stronę rzeczowego stowarzyszenia, wskazują jak bez uciekania się do filantropii można stworzyć instytucyę tak dobroczynnie działającą na polu oświaty.

Być może, iż opis powyższy podda komu myśl, aby u nas podobne stowarzyszenie oświatowe utworzyć: dla tego przytoczę obszerniejsze wyjątki z ustawy „Družby,” gdyż wiele z tych punktów ustawy możnaby i w naszych stosunkach z pewnemi zmianami użyć.

„Družba sv. Mohora” jest stowarzyszeniem o charakterze religijnym, do pewnego stopnia stanowi bractwo oświatowe.

Według 1-go punktu ustawy celem „Družby sv. Mohora” jest umacnianie w dobrych pobożnych obyczajach i obrona wiary katolickiej w narodzie; dla osiągnięcia tego stowarzyszenie ma wydawać i rozpowszechniać wśród słowenców dobre książki katolickie.

§ 2. Prawo wstąpienia do stowarzyszenia ma każdy chrześcjanin-katolik bez różnicy płci, stanu i wieku, o ile chce i może spełniać obowiązki włożone na członków.

Kto zostanie przyjęty do stowarzyszenia jest w niem póki sam zechce, lecz może być usunięty, o ile nie spełnia obowiązków członkowskich.

§ 3. *Obowiązki członków:* I.) Każdy stowarzyszony ma codziennie odmawiać „Ojciec nasz” i „Zdrowaś Marya” z dodatkiem słów: „Święty Mohorze, wstaw się do Boga za nami!”

To ma być odmawiane na tę intencję, aby wiara katolicka wszędzie, a zwłaszcza między ludnością słoweńską, utrwałała się i szerzyła.

II.) Każdy członek - ksiądz oprócz tego, o ile to możliwe, w dniu 12-ym lipca, w którym przypada św. Mohora, winien odprawić Mszę św. na intencję żywych i umarłych członków stowarzyszenia.

III.) Każdy członek płaci corocznie z góry 2 korony (80 kop.), aby stowarzyszenie mogło wydawać dobre książki. Kto po wielokrotnem przypominaniu nie opłaca rocznej składki wyłącza się z liczby stowarzyszonych.



IV.) Każdy członek jest obowiązany dokładać wszelkich starań, do rozpowszechnienia dobrych książek wśród słowenców.

§ 4. *Prawa i korzyści członków.*

1) Każdy członek, o ile ściśle spełnia swoje obowiązki, dostępuje wszystkich odpustów, jakie nadał stowarzyszeniu ojciec św. Pius IX w swym liście z dnia 18-go maja 1860 go roku, a mianowicie:

a) Zupełny odpust w dniu wstąpienia do stowarzyszenia, o ile kto przystąpi do spowiedzi i przyjmie Komunię św.

b) Zupełny odpust w godzinę śmierci, o ile kto się wyspowiada i Komunię św. przyjmie. Jeżeli jednak tego uczynić nie może, niech z nabożeństwem wymawia przynajmniej imię „Jezus” lub westchnie pobożnie z głębi skruszonego serca.

c) Odpust zupełny jeżeli członek w dniu św. Mohora przystąpi do sakramentów i pobożnie pomodli się na intencję jedności monarchów chrześcijańskich, wygaśnięcia wszelkich rozłamów herezy i wywyższenie Kościoła katolickiego.

Wszystkie te odpusty można też ofiarować za dusze w czyśćcu cierpiące.

II) Każdy członek jest uczestnikiem łask, jakie spływają z modlitw i ofiar Mszy św. na intencję stowarzyszenia odprawionych.

III) Każdy członek otrzymuje po jednym egzemplarzu każdej książki wydanej przez stowarzyszenie. O ile kto opłaca podwójną, albo potrójną składkę — to i otrzymuje odpowiednią ilość książek.

IV) Każdy członek ma prawo wskazywać zarządowi stowarzyszenia te dzieła czy utwory,

których wydanie uważałyby za korzystne i pożyteczne dla ogółu.

Z dalszych punktów dowiadujemy się, że „Drużba” znajduje się pod zwierzchnictwem miejscowego biskupa, że książki ze względu na koszty rozsyłają się raz do roku w pakach do jednego z zaufanych stowarzyszenia w każdej miejscowości, że kapitał żelazny stowarzyszenia składa się z opłat członków dożywotnich, zapisów i darów dobrowolnych.

Z podobnych wyjątków widać, że o ileby u nas o takim stowarzyszeniu pomyślano, to całkowicie na słoweńskiej ustawie wzorować by się nie można, ale ogólne wytyczne punkty i w naszych warunkach w zupełności mogą być zastosowane. Teraz zaś, gdy ruch oświatowy budzi się coraz silniej, należałoby naprawdę o podobnem stowarzyszeniu chrześcijańskiem pomyśleć.

## B) Szolska družba sv. Cirila in Metoda.

W roku 1885-ym, kiedy uroczyście obchodzono tysiąclecie działalności apostołów zachodniej i południowej Słowiańszczyzny, w dniu tyśiącznej rocznicy śmierci św. Metodego, — powstał wówczas w Chorwacyi, Serbii, Słowenii, Czechach cały szereg najrozmaitszych instytucyi pod wezwaniem świętych Cyryla i Metodego. W tymto roku powstała też wśród słoweńców „*Szolska družba sv. Cirila in Metoda*” (Szkolne stowarzyszenie św. Cyryla i Metodego) z główną siedzibą w Lublanie.

Stowarzyszenie to charakterem swoim zbliżone jest do naszych „Macierzy Szkolnych” czy w Królestwie czy na Ślązku Austriackim i również poważne znaczenie odgrywa w sprawie szkolnictwa zwłaszcza w tych prowincjach osiedlenia słoweńców, gdzie są zmieszani z ludnością niemiecką lub włoską.

Słoweńcy bowiem są ludźmi praktycznymi: w tych stronach, jak naprzykład w całej Krainie, gdzie stanowią znaczną większość mieszkań-

ców, o ile są im potrzebne szkoły, to wpływają na rząd i kołaczą do władz krajowych o ich otwarciu. W tem postępowaniu słusznie kierują się zdaniem, że swego grosza należy szczerze dzielić, bo i tak jest aż nadto potrzeb, na które sam naród sobie musi radę znajdować.

Taktyka ta bardzo jest rozumna, gdyż przy swoich dosyć skromnych funduszach „Drużba św. Cyryla i Metodego” z pewnością niewiele byłaby w stanie zrobić, jeżeliby na całe bez wyjątku terytorium osiadłości słowenców musiała swą pracę rozkładać, a tymczasem, gdy o środkowe strony mniej się musi kłopotać, to przez to samo, skupiając swą działalność na zagrożonych narodowo kresach znacznie więcej może zdziałać.

Jak Stowarzyszenie św. Cyryla i Metodego rozwija swą pracę, to widać ze sprawozdania wydanego w dwudziestą rocznicę istnienia stowarzyszenia. Otóż w roku 1905-ym „Drużba św. Cyryla i Metodego” miała 151 filii t. j. kół w różnych miejscowościach z 7950 członkami. Charakterystyczną jest rzeczą, iż wśród słowenców koła „Drużby” są trzech rodzajów: czysto męskie, czysto żeńskie i mieszane; pierwszego rodzaju było 31 kół, drugiego 38 i trzeciego 82. „Koła” dostarczały Stowarzyszeniu 25,503 koron przychodu, więc zaciekało mię z jakich źródeł czerpana jest pozostała suma.

Rozejrzawszy się w sprawozdaniu rachunkowym, znalazłem tam następujące pozycje: od „stowarzyszeniowych zapalek” 2600 koron, od „stowarzyszeniowej kawy” 1222 korony, od „stowarzyszeniowego mydła” 417 koron, od „stowarzyszeniowego płótna” 400 koron, ze sprzedaży „stowarzyszeniowego kalendarza” 3284 koron,



za „marki stowarzyszeniowe” 2152 koron  
i t. d. i t. d.

W czasie czytania tego spisu przyszedł mi na myśl cały szereg naszych instytucji społecznych i dobroczynnych, które chronicznie narzekają i cierpią na brak funduszków, ale dla ich pozyskania zazwyczaj nie potrafią się na nic więcej zdobyć, jak na koncerty, bale i cabarety.

Niewieleby zyskały instytucje słoweńskie gdyby się zechciały uciekać tylko do tych tańcująco-zabawowych sposobów. Słoweńcy, naogół biorąc, są narodem chłopskim; jak już wiadomo z poprzednich rozdziałów arystokracji i inteligencji rodowej nie mają, gdyż się od wieków zniemczyła;—inteligencya umysłowa nie jest nazbyt liczna; więc też siłą rzeczy trzeba było poszukać takich sposobów zdobywania funduszków, przy których cały naród mógłby się przyczyniać do powiększenia dochodów stowarzyszeń.

Poczęto więc wchodzić w umowy z różnymi fabrykantami i kupcami przedmiotów codziennego użytku, jako to zapalki, kawa, mydło i t. d.

Sprawy nie traktowano filantropijnie lecz handlowo:

— Daj nam pan 1, 2, 3, 5 czy 10 procent od sprzedaży produkowanych towarów, a my za to będziemy zalecali ogółowi pańskie wyroby, pozwalamy w reklamach powoływać się na nas, nawet sami będziemy pana reklamowali w swoich wydawnictwach a zwłaszcza w kalendarzu własnym. Rozumie się warunek, że towary pod naszą egidą puszczone w świat winny być dobre, solidne i nie droższe od przyjętych normalnych cen targowych.

I fabrykant, czy kupiec hurtowy godzi się jak najchętniej, sam nawet ofiarowuje się ze swemi usługami, bo to dla niego doskonały interes: procent, jaki da, odbije sobie z nawiązką na powiększeniu konsumpcyi.

Tym sposobem wśród słowenców są zapalki, stalki, szkła do lamp, ołówki, kawa, cykorya, piwo, wina szampańskie, mydło, papier listowy, płótno, biszkopty, pasta do butów i bibułka do papierosów — wszystko „stowarzyszeniowe” t. j. że od tych produktów „Stowarzyszenie św. Cyryla i Metodego” ma procenty.

Zwykle na opakowaniach tych produktów zaznaczone jest, że część dochodu idzie na korzyść „Družby.” Tak naprzykład etykieta na zapalkach drobnymi literkami podaje tylko firmę fabrykanta, a przedewszystkiem rzuca się w oczy, że to są: zapalki „Stowarzyszenia Cyryla i Metodego.”

Po środku wielkimi głoskami sentencya:

Mał položi dar  
Domu na altar!

(Niech każdy złoży dar skromny na ołtarzu ojczyzny!)

Pod spodem dopisek: te zapalki są na korzyść „Stowarzyszenia św. Cyryla i Metodego” w Lublanie.

I każdy słoweniec, któremu sprawa oświaty narodowej nie jest obojętną, uważa za swój obowiązek tylko te zapalki kupować, tylko tych we wszystkich sklepach się domagać.

Podobnie postępują chorwaci i jak zagrzebskiemu tak lublańskiemu stowarzyszeniu zapalki i marki stowarzyszeniowe dosyć spore dostarczają zyski. Kiedy już dotknąłem sprawy „marek

na rzecz oświaty," to nie mogę nie skorzystać ze sposobności, aby nie rzucić paru uwag pod adresem „Macierzy Szkolnej” w Królestwie.

„Macierz,” pragnąc przysporzyć sobie dochodów, też wydała marki na rzecz swoją, ale popełniła przytem jeden błąd, iż wydała marki za drogie: 10 i 20 groszy, to już są kwoty, nad których częstem wydawaniem niejedyn już się musi zastanowić. Podobno „Macierz” ma wydać i tańsze marki ale dotąd to nie nastąpiło z oczywistą stratą samej „Macierzy.” Na zalepienie listu dwugroszową marką „Macierzy” dla uchronienia go przed niepotrzebną ciekawością — może sobie pozwolić mniej więcej każdy; używanie jednak do tego celu marek dziesięć lub dwudziestą groszowych dla wielu już staje się wydatkiem po nad możność. Wynik tego taki, iż marki „Macierzy” nie wchodzi w takie powszechne użycie, jakby na to zasługiwały.

Tymczasem marki „Drużby św. Cyryla i Metodego” czy chorwackie w Zagrzebiu czy słoweńskie w Lublanie są tylko po 2 halerze (nieco mniej niż 2 grosze) i dzięki temu licznie się rozchodzą, co poświadcza dochód z tego źródła stowarzyszenia słoweńskiego w wysokości 2152 koron rocznie, który w tamtejszych stosunkach uważać należy za znaczny.

Zaznaczyć należy, iż Towarzystwo Szkoły Ludowej w Galicyi wydało również tylko dwuhalerzowe marki dochodowe i nie słyszałem, aby żałowało swego uczynku.

Poparciem mojego zdania jest też wydanie dwugroszowych marek przez Warszawskie Pogotowie z okoliczności swego dziesięciolecia.

W Zagrzebiu w uniwersytecie widziałem, iż tam stowarzyszenia studentów chorwackich

na każdej odezwie przylepiają choć jedną markę, a niektóre nawet na ogłoszeniach, przez czas dłuższy mających być wywieszonemi, robią ramki z marek na dochód „Družby”. Chorwackie stowarzyszenie szkolne tak samo jak słoweńskie jest pod wezwaniem św. Cyryla i Metodego.)

Rozumie się, gdyby te marki były po 10 lub 20 halerzy, to z pewnością nie mogąc sobie pozwolić na ich używanie w sposób opisany, nie używaliby ich wcale.

I jeszcze na jedno chciałem zwrócić uwagę: w Zagrzebiu istnieje księgarnia, która pewien procent od dochodu brutto oddaje na rzecz chorwackiego stowarzyszenia św. Cyryla i Metodego.

Czyżby u nas nie można było zrobić czegoś podobnego?

Obecnie księgarze w Królestwie postanowili nie dawać procentów nawet stałym nabywcom, o ile ci są prywatnemi osobami. No, wolna wola, choć nawet z punktu czysto handlowego dziwnie brzmi uchwała. Skoro jednak ma już obowiązywać, to byłoby dobrze, aby jednocześnie weszła w życie i druga uchwała, której mocą *każda księgarnia dawałaby jeden procent od dochodu brutto* na rzecz „Macierzy,” „Tow. bibliotek parafialnych” czy innej instytucji oświatowej. Wybór pozostawia się osobistemu uznaniu księgarza; rzecz w tem, aby tylko ten *jeden* procent był dawany: nasze stowarzyszenia oświatowe niemały zyskałyby zasiłek tym sposobem, a księgarnie też by nie straciły, posiadając poparcie członków odpowiednich towarzystw.

Może projekt ten trafi, gdzie należy...



Opis Stowarzyszenia św. Cyryla i Metodego rozpocząłem od sposobów pozyskiwania przezeń środków na utrzymanie, gdyż sprawa ta jest palącą dla wielu naszych instytucji społecznych, dobrze więc jest przyjrzeć się nieraz bliżej, jak sobie pod tym względem radzą gdzieindziej.

Co do działalności „Drużby” to rozwija ją ona w dwóch kierunkach: 1) zakładanie szkół i ochronek, 2) wydawanie książek w zakresie dziejów literatury i historii ojczystej; inne rodzaje piśmiennictwa mniej są uwzględniane.

W ciągu dwudziestulecia istnienia stowarzyszenia powstało 25 zakładów oświatowo-wychowawczych, z których 12 były całkowicie utrzymane na koszt „Stowarzyszenia św. Cyr. i Met.,” a 13 wspieranych tylko przez nie. Pracę ułatwiały ogromnie w wielu wypadkach zakonnice, biorąc udział już to w kierownictwie już to w nauczaniu w poszczególnych szkołach, a pełniąc obowiązki prawie zadarmo.

W roku 1905 ym w zakładach „Drużby” kształciło się 2600 dzieci; przeglądając sprawozdania „Stowarzyszenia” lat dawniejszych od samego początku widzi się, iż corocznie uczyło się od 500 do 1000 dzieci. Słowem w szkołach i zakładach „Drużby” znalazło ogółem dotąd około 20,000 dzieci naukę i przez to samo zostało uchronionych od zcudzoziemczenia, które im groziło w szkołach włoskich lub niemieckich.

Pomimo wyteżenia sił „Drużba św. Cyryla i Metodego” nie może wydołać zaspokojeniu wszystkich potrzeb ludności słoweńskiej w miejscowościach zagrożonych narodowo; to też gdzie tylko słoweńcy wzrosną w siły, podejmowane są usilne zabiegi i starania o upaństwowianie szkół, utrzymywanych przez „Stowarzyszenie.”

Tak np. obecnie w Tryeście udało się słowencom, pomimo wrogiego stanowiska włochoów, upaństwowić pięcio-oddziałową szkołę ludową.

Rozumie się dla „Družby” jest to wielka ulga i może ona zaraz pomyśleć o rozwinięciu działalności w innej miejscowości lub choćby nawet w tymże samym Tryeście, gdzie ze względu na ilość mieszkańców słoweńskich potrzebne są przynajmniej trzy szkoły ludowe.

Działalność wydawnicza stowarzyszenia wyraziła się głównie w powołaniu do życia „Książnicy św. Cyryla i Metodego,” w której do roku 1906 go wyszło 14 broszur, przeważnie biograficzno-historycznych jako to: „Walenty Vodnik” pierwszy poeta słoweński; „Mateusz Ravnikar” biskup tryesteński, „Jan Cigler” pisarz słoweński „Andrzej baron Czehovin” bohater słoweński it.d.

Stale też wydawany jest kalendarz „Družby,” który spełnia dwa zadania: 1-e, informuje ogół o działalności stowarzyszenia i utrzymuje tym sposobem stałą łączność Stowarzyszenia ze społeczeństwem i

2-e, dostarcza dość poważnego zasilku kasie Stowarzyszenia (Egzemplarz kalendarza kosztuje 1 k. 20 kalendarzy t. j. około 50 kopiejek.

Oprócz wydawania książek własnych „Družba” kupuje też i ofiarowuje różnym szkołom książki naukowe i beletrystyczne, potrzebne dla użytku ciała nauczycielskiego czy biblioteki szkolnej. Tak, że ogółem w ciągu dwudziestulecia swojego istnienia „Stowarzyszenie św. Cyryla i Metodego” posłało w świat przeszło 100 tysięcy egzemplarzy książek pożytecznych. Zapewne, że to jest niewiele w porównaniu z 11 milionami książek „Družby św. Mohora,”

ale tem niemniej te 100 tysięcy wydawnictw, rozpowszechnionych w społeczeństwie a głównie wśród młodzieży, ma swoje niepoślednie znaczenie w dorobku oświatowym narodu.

„Družba św. Cyryla i Metodego” była do ostatnich czasów bezpartyjną a właściwie wszechpartyjną, gdyż członkowie wszystkich partyi do niej należą i dla dobra ogólnego wspólnie pracują.

Zarząd stowarzyszenia zwykle był kompromisowy i trwało to tak do roku obecnego. Ale przy wyborach ostatnich do parlamentu, a pierwszych przeprowadzonych na zasadzie prawa powszechnego głosowania między stronnictwami liberalnem a chrześcijańsko-społecznem przyszło do zażartej walki, w której liberali ponieśli cały szereg klęsk.

Taki wynik wyborów wywołał zaostrenie antagonizmów partyjnych i tegoroczny obiór zarządu „Družby św. Cyryla i Metodego” odbył się pod hasłem walki. Okoliczności tak się złożyły, że, wbrew rzeczywistemu składowi ogółu członków stowarzyszenia, zwycięstwo przypadło w udziale liberałom.

Spowodowało to rozgoryczenie wśród obozu chrześcijańskiego, gdyż faktycznie stowarzyszenie dużo zawdzięcza pracy księży i zakonnic, a choć i liberali nie są bez zasług zwłaszcza przy gromadzeniu środków pieniężnych za pomocą zabaw, sprzedaży marek i różnych towarów, — to znów nie można powiedzieć, aby ich wyłączną działalnością stowarzyszenie stało.

Jednem słowem członkowie każdego ze stronnictw na swój sposób i jedni i drudzy byli pożyteczni stowarzyszeniu, szkoda więc, że zgo-

dną kulturalną pracę została zakłócona dysonansem wyborczym.

Zapewne, jeżeli liberali nie będą chcieli wyzyskać położenia i będą lojalnie zarządzali stowarzyszeniem,—to jakoś się stosunki ułożą z przypadkowo zwyciężoną większością członków ze stronnictwa chrześcijańskiego. Gdyby jednak zarząd liberalny zaczął rozwijać działalność w kierunku antyreligijnym, to bezwarunkowo dojdzie do przesilenia wewnętrznego, do ustąpienia członków z obozu chrześcijańskiego, co byłoby początkiem upadku „Drużby.“

Już dziś gorętsi nawołują, aby nie czekać, aż liberali „pokażą pazury” lecz odrazu pomyśleć o założeniu własnego stowarzyszenia szkolnego; mniej zapalni radzą czekać z tym stanowczym krokiem. I ten ostatni głos zdaje mi się dosyć słusznym, bo jeżeli w żadnym narodzie zbyt rozdrabianie pracy społeczno-oświatowej po warsztacikach partyjnych nie jest korzystne w ostatecznych swych wynikach, to tembardziej w tak niewielkim narodzie jak słoweński.

Tak czy inaczej nastrojony zarząd tego rodzaju stowarzyszeń jak „Družba św. Cyryla i Metodego” w niewielkim tylko zakresie wywierać może wpływ na działalność poszczególnych kół, rozrzuconych po całym kraju.

Większość kół i szkół „Družby” jest pod wpływem księży lub wogóle ludzi ze stronnictwa chrześcijańskiego; związek poszczególnych kół z zarządem jest dosyć luźny (tak samo jak w naszej „Macierzy”) i ludziom pracującym w duchu idei katolickiej zarząd, choćby chciał, niezbyt bruździć może.



Słoweńcy, dzięki pracy usilnej w odpowiednich organizacjach, daleko już zaszli na drodze oświaty powszechnej; wyprzedzili włochów a częściowo i Niemców; — wrodzy sąsiedzi nie śpią jednak i słoweńcy z całą intensywnością muszą pracować dalej, aby się utrzymać stale na zdobytych placówkach.

Szkoda byłoby, żeby z racji rozterek partyjnych ta praca oświatowa miała osłabnąć w swem natężeniu.

### C). Słoweńska Matica.

Trzecią wreszcie instytucją oświatową jest *Macierz Słoweńska*. Stowarzyszenie to ma inne cele, niż „Macierze” u nas w Królestwie czy na Śląsku, gdyż, jak widać było z rozdziałów poprzednich, tam szkolnictwem opiekuje się „Družba sv. Cirila in Metoda,” a „Slovenska Matica” ma za zadanie dopomaganie społeczeństwu do krzewienia kultury przez podejmowanie wzorowych wydawnictw, jako też dopomaganie autorom i księgarzom do wydawania pożytecznych dzieł. Tak określa cel „Macierzy Słoweńskiej” paragraf pierwszy ustawy.

W praktyce to napozór bardzo ograniczone zadanie urzeczywistnia się w tej formie, że „Macierz” w Lublanie stała się instytucją, skupiającą większość ludzi, pracujących na polu piśmiennictwa i nauki, wskutek czego dla społeczeństwa ma takie znaczenie, jak akademie umiejętności w innych krajach, wśród innych narodów.

W roku sprawozdawczym 1906-ym liczyła 3461 członków, z tych 6 honorowych, 208 założycieli (t. j. takich którzy conajmniej złożyli 100 koron), 3121 zwykłych i 126 prenumeratorów wydawnictw.

Obrót pieniężny za tenże okres działalności wynosił przeszło 63 tysiące koron. Rozpatrując poszczególne pozycje dochodów i wydatków, widzimy iż największą pozycję w dochodach stanowią składki członkowskie (11816 koron), spostrzegamy też, że państwo daje subwencyę w wysokości 1000 koron. W rubryce wydatków najwyższą pozycję stanowią koszta wydawnictw, dochodzące przeszło 15 tysięcy koron, z czego możemy wnioskować, iż właściwe zadanie „Macierzy” jest przez nią spełnione. Warto się jednocześnie rozejrzeć, jak to zadanie jest spełniane t. j. jakie wydawnictwa daje „Macierz Słoweńska” swemu społeczeństwu.

Ogólna liczba dotychczasowych wydawnictw dochodzi setki niemal i rozpada się pod względem treści na dwa zasadnicze działy: naukowy i beletrystyczny. Wśród naukowych widzimy przyrodnicze, techniczne, historyczne, filologiczne, folklorystyczne i filozoficzne. W tym dziale na uwagę obcych zwłaszcza zasługują takie fundamentalne wydawnictwa jak „*Slovenska bibliografija*,” której wyszły już trzy zeszyty pod umiejętną redakcją dr. Fr. Simonicza; dalej napisana przez dr. K. Glasera „*Zgodovina slovenskega slovstva*” (Historja literatury słoweńskiej) w 4 tomach; następnie „*Slovenske narodne pesmi*” (Ludowe pieśni słoweńskie) z wielką sumiennością zebrane i uporządkowane naukowo pod redakcją dra prof. K. Sztrukelja, wyszły dotąd w 10 obszernych zeszytach, zawierających *pół siódma* tysiąca utworów poezji ludowej; wreszcie również pożyteczna wspólna praca S. Rutara i Fr. Ozoźna „*Slovenska zemlja*,” dzieło historyczno geograficzne, którego dotąd

ukazały się 4 tomy, zawierające opis Tryestu, Istrii, Słowenii i Województwa Kraińskiego.

Niemniej liczne są wydawnictwa belletrystyczne, ugrupowane w kilka działów jak „Zabawna knjižnica” (Książnica belletrystyczna), „Ant. Knezova knjižnica” (Książnica im. Ant. Kneza), „Iz svetocne književnosti” (Z piśmiennictwa wszechświatowego). W pierwszych dwóch wydawnictwach są prawie wyłącznie utwory autorów słoweńskich, w trzecim, liczącem dotąd dopiero 3 tomy, znajdujemy „Króla Leara” i „Kupca Weneckiego” Szekspira oraz „Potęgę Ciemnoty” Tolstoja. Z polskich autorów dotąd nic nie przyswojono, spodziewać się jednak należy, iż w niezbyt odległej przyszłości ten brak zostanie usunięty.

Co prawda o ten brak niezbyt można winić słoweńców, boć przy swoich skromnych środkach, jakie mogą poświęcać na cele szczenia *wyższej* kultury, wypełniają najpierw te luki, które sami odczuwają, albo co do których postarano się żeby odczuli. U nas pod tym względem do czasów ostatnich prawie nic nie robiono, więc i pretensye do życzliwych skądinąd pobratymców byłyby nieuzasadnione.

Spójrzmy tylko na spis instytucji, które zamieniały się z „Macierzą Słoweńską” swemi wydawnictwami w ciągu 1906-go roku. Na 43 stowarzyszenia, redakcyje pism i instytucye kulturalne różnych ludów słowiańskich znajdujemy jedynie „Towarzystwo ludoznawcze” i redakcyję „Kwartalnika historycznego” ze Lwowa. Patrząc dalej, przeszukuję pilnie, natykam się na „Akademię cesarską” w Petersburgu, „Uniwersytet cesarski” w Kijowie, „Rosyjskie towarzystwo geograficzne” w Petersburgu, „Uniwersytet ce-



sarski" w Jurjewie (Dorpat), „Uniwersytet cesarski" w Kazaniu, „Instytut historyczno-filozoficzny" w Nieżynie spotykam nawet „Macierz rusińską" i „Literackie stowarzyszenie im. Szewczenki" ze Lwowa — a z polskich wydawnictw naukowych, — z polskich stowarzyszeń oświatowych, — z polskich licznych przecież instytucji kulturalnych ani jednej więcej!

Wiadomo jednak przecież, iż na uniwersytetach Krakowskim i Lwowskim są wykładane języki słowiańskie, — więc jeżeli już nie z innych względów, to choćby z samych powodów czysto naukowych wszechnice nasze winny się przecież zainteresować wydawnictwami „Macierzy Słoweńskiej," bez których, jak każdy mógł zauważyć, wprost trudno mówić o jakichś studiach rzeczowych i poważnych nad znajomością słowców.

Rozmawiałem w tej sprawie z jednym z profesorów naszych: — „Widzi pan, trudno mówić o zamianie, gdyż uniwersytety nasze bezpośrednio specjalnych wydawnictw nie prowadzą."

— Dobrze, ależ ta sama historia powtarza się na wszystkich uniwersytetach prawie bez wyjątku. Każda wszechnica jednak wydaje obszerne spisy wykładów na każde półrocze, sprawozdania z działalności — a te, że tak powiem, statystyczne opisy dają ogromnie dużo materiału dla obcokrajowca, chcącego się zapoznać z życiem i rozwojem naszych wyższych uczelni naukowych.

Jeżeli wreszcie rektoraty naszych wszechnic są tak drażliwe, że nie chcą za swych kilka wydawnictw czysto informacyjnych otrzy-

mać dzieła naukowe nienazbyt zamożnej „Macierzy Słoweńskiej,” to nic łatwiejszego, jak zapisać się na zwykłego członka kosztem 4 koron (1 rb. 60 kop.) rocznie. Chyba nasze uniwersytety stać na to!

Mogliby też pozapisywać się na członków nasi profesorowie języków słowiańskich czy innych przedmiotów, z językoznawstwem słowiańskim związanych. Bo jeżeli mógł to uczynić profesor *W. R. Morfill* z Oxfordu, prof. dr. *J. J. Mikkola* z Helsingforsu—to nasze „sławy” naukowe bynajmniej by sobie nie ubliżyły idąc śladem wspomnianych sławistów.

Przeglądając w dalszym ciągu szczegółowe sprawozdania z posiedzeń „Maticy” spostrzegam bardzo doniosły projekt poruszony na jednym z tych zebrań, a następnie, co ważniejsza, wprowadzony w czyn. Otóż „Macierz Słoweńska” weszła w bliższe porozumienie z „Macierzą Chorwacką” i postanowiono, że pierwsza z tych instytucji będzie wydawała co rok jedną książkę chorwacką, a druga — jedną słoweńską, zakładając w tym celu umyślne wydawnictwa pod tytułami „Chorwackiej—względnie Słoweńskiej Książnicy.”

Tym sposobem dwa narody słowiańskie bliżej się wzajemnie poznają a bezwątpienia lepiej i gruntowniej niż za pośrednictwem szumnych kongresów dziennikarskich, których najgłówniejszą osią bywa zazwyczaj wspólny obiad z odpowiednią ilością wypróżnionych butelek.

Warto, aby nasze towarzystwa kulturalno-oświatowe pomyślały o wejściu w podobne stosunki z odpowiednimi instytucjami pobratymczymi...

„Macierz Słoweńska“ w Lublanie, wypełniając omawianą umowę wydała już pierwszy tom „Chorwackiej Książnicy“, podając w nim antologię poezji słoweńskiej pod redakcją dr. Heszicza.

Pracę tę zaliczyć należy do działalności zewnętrznej „Maticy“, ale i wewnętrzna przygotowawcza działalność „Macierzy Słoweńskiej“ zasługuje na baczniejszą uwagę. Więc komisya folklorystyczna zbiera materiały, które następnie są ogłaszane w „Zborniku Slovenske Matice“, którego wyszło już 8 tomów; więc znów inna komisya zajmuje się zbieraniem nazw geograficznych.

Sprawa to bardzo ważna wobec tego, że prowincye, zamieszkałe przez słoweńców, są w sferze wpływów niemieckich, węgierskich i włoskich, nieraz tedy zdarza się, iż jedna i ta sama miejscowość ma po trzy nazwy: rodzimą słoweńską oraz narzucone węgierską lub włoską i niemiecką. Słowem jest w większym stopniu to samo, co nam dokucza w Polsce, a zwłaszcza w zaborze Pruskim.

W poznańskim zakrzętnięto się około wydania słownika, podającego rzeczywiste polskie brzmienie nazw zgermanizowanych; otóż nad podobnym słownikiem pracuje rzeczona komisya „Maticy.“

Gdy wszystkie szczepy słowiańskie będą posiadały takie słowniki geograficzne swoich krajów, wtenczas będzie można pomyśleć o wspólnym słowniku wszystkich ziem słowiańskich, którego potrzeba z dniem każdym coraz bardziej odczuwać się daje,—o czem mogą coś powiedzieć redakcyje pism.

Bez takiego słownika będzie się ciągle powtarzała ta historya, że w pismach polskich zamiast Zagrzebia i Lublany figurować będzie *Agram i Laibach*, a znów w gazetach chorwackich, słoweńskich czy czeskich różne *Lemberg* i *Danzigi*.

Jak widzimy więc jest to wspólnym interesem wszystkich słowian, aby taki ogólny słownik geograficzny możliwie jaknajprędzej doszedł do skutku.

W roku 1910 ym ma być wystawa słowiańska w Pradze Czeskiej; mają w niej wziąć udział i instytucje kulturalno-oświatowe; omówienie więc na tej wystawie kwestyi rzeczowego słownika nie przedstawiało by trudności.

Pracą przygotowawczą w tym kierunku mogłyby się zająć redakcje „Świata słowiańskiego” w Krakowie i „Przeglądu słowiańskiego” w Pradze Czeskiej.

Wracając do „Macierzy Słoweńskiej” zaznaczyć należy, iż corocznie wydaje też swój „*Letopis*” t. j. Kronikę działalności, w której na uwagę to zasługuje, że nie tylko są podane wiadomości o stanie kasy, ilości członków i stanie biblioteki stowarzyszenia, ale zarazem szczegółowe sprawozdania ze wszystkich w ciągu roku odbytych posiedzeń zarządu. W ten sposób zarząd instytucji nie osłania się żadnym nimbem tajemniczości, z czynności swoich nie robi sekretu, jak to się u nas tak często jeszcze praktykuje. „*Letopisy*” otrzymują nie tylko członkowie „*Maticy*” ale dostępne są one dla wszystkich: każdy interesujący się „*Macierzą Słoweńską*,” może posiadać owe sprawozdanie niewielkim kosztem 60 halerzy (24 kop.)



Że taka jawność tylko na dobre towarzystwu wychodzi, to o tem i zapewniać zbyteczne.

Opisywane poprzednio „Družba sv. Mohorja” i „Družba sv. Cirila in Metoda” również podają do publicznej wiadomości sprawozdania ze swej pracy w wydawanych corocznie kalendarzach stowarzyszeniowych. Rozumna tedy zasada jawności praktykowana jest we wszystkich słoweńskich instytucjach publicznych.

---

#### D) Ułatwianie oświaty.

W czasie mego pobytu w Krainie wpadło mi do ręki jedno z pism codziennych warszawskich, w którym omawiana była sprawa „prymusów wioskowych.“

Autor owego artykułiku pisał między innymi: „Działwa wiejska uczy się chętnie i pilnie, ujawniając duże postępy i duże zdolności. Zdarzają się w szkołach wiejskich uczniowie, którzy zdolnościami swemi zdumiewają nauczycieli i wizytatorów. Pomiędzy „prymusami” szkół wioskowych są tacy, którzyby mogli być chlubą szkoły średniej, potem uczelni wyższej, potem chlubą społeczeństwa.“

Niestety! te siły się marnują. Zdolny uczeń szkoły ludowej, po ukończeniu dwóchletniego kursu, ma zamkniętą drogę do dalszej nauki. Średnie szkoły prywatne stypendyów nie posiadają, wpis w nich wynosi od 100 do 150 rb. rocznie, stancya zaś lub internat kilkaset rubli pochłania.

Prymusi wioskowi rzucają z konieczności naukę, tworząc plejadę niezadowolonych z nie-  
wdzięcznego losu.

Tej młodzieży należałoby utorować drogę do szkół średnich, a przyjść im winni z pomocą nasi właściciele szkół miejskich i nasza inteligencja.

Szkoły nasze uwalniają rok rocznie pewien odsetek uczniów od wpisów; część takich wakansów powinna każda szkoła zarezerwować dla uczniów szkół ludowych, przyjmując ich z rekomendacyi nauczycieli ludowych.

Pozostaje do rozstrzygnięcia jeszcze kwestya „stancyi.“

Zająć się tem powinni ci rodzice, którzy mają synów jedynaków i potrzebują dla nich towarzystwa.

Przyjąc do domu zdolnego chłopca ze wsi, przeznaczyć mu kącik, otoczyć rodzicielską opieką i dać możność do nauki—oto wdzięczne zadanie.

Poza uprzystępnieniem nauki dziatwie wioskowej akcyja ta ma jeszcze inne doniosłe znaczenie: nasza młodzież miejska będzie miała sposobność zbliżyć się do młodzieży wiejskiej i odwrotnie—i tą drogą stopniowo zmniejszać przepaść, jaka dotychczas istnieje między warstwami społecznymi.

Zyska na tem demokratyzacya kraju, bliższą urzeczywistnienia stanie się idea Polski ludowej!”

Tyle autor notatki, który bezwątpienia wiele ma słuszności, ale sposób podany przezeń nie rozstrzyga sprawy i konieczną jest organizacya tanich internatów po naszych miastach gubernialnych i większych powiatowych na wzór tego, jak to posiadają słoweńcy w Lublanie.

„*Collegium Aloisianum*,” pod którego dachem znajduje schronisko około dwóch setek uczniów szkół średnich, daje życie i mieszkanie za cenę bardzo umiarkowaną, od której jeszcze dla niezamożnych robi się znaczne ustępstwa, a częstokroć i zupełnie uwalnia. To ostatnie jest możliwe dzięki licznym zapisom i stypendyom, będącym w rozporządzeniu „*Collegium*.” Jak już wiadomo z poprzednich rozdziałów, słoweńcy są w całym znaczeniu tego wyrazu narodem chłopskim, wieśniaczym; wszystkie warstwy inne wyrastają bezpośrednio z włościanstwa. Rzecz jasna wobec tego, że większość ojców uczniów szkół średnich składa się z gospodarzy wiejskich; mając ten fakt na uwadze „*Collegium*” część należnej zapłaty przyjmuje też w naturze w produktach rolnych. Jest to ważne ułatwienie zwłaszcza dla bliżej miasta zamieszkałych.

Oprócz „*Collegium Aloisianum*” istnieje jeszcze w Lublanie inna podobna instytucja „*Collegium Marianum*,” przy którym jest szkoła niższa i następnie szkoła gospodarstwa dla dziewcząt. Dyrektorem „*Collegium Marianum*” jest ks. kanonik Kalan, w pracy wewnętrznej tej instytucji ogromne usługi oddają zakonnice; dzięki ich skrzętności i pracy „*Collegium*” może dać naukę i mieszkanie paruset uczniom, a koło czterdziestu sierot ma na swem całkowitem utrzymaniu.

Jak widać z powyższego „*Collegium Marianum*” daje swym wychowankom tylko elementarne wykształcenie, ale nie zapomina o swoich „prymusach” o tych „prymusach wioskowych,” o których chodziło autorowi przytoczonego w streszczeniu artykułu. Oto „*Collegium*”



zdolniejszych z pomiędzy swych uczniów kształci wyżej swoim kosztem jużto całkowicie, jużto częściowo o ile wychowawiec ma rodziców, mogących ponosić pozostałą część wydatków wykształcenia. ¶

Sprawa ułatwienia wykształcenia u nas zwłaszcza w czasach obecnych nabiera doniosłego znaczenia. Nie można się ludzić, aby tej potrzebie zaradził jeden jakiś uniwersalny środek. Staje się tedy obowiązkiem wszystkich, mających sposobność ku temu, badać i wnikać, jak sobie w tym względzie radzą w krajach innych i spostrzeżeniami swemi dzielić się z ogółem dla dobra społecznego.

Swoją drogą z akcją w kierunku ułatwienia wykształcenia średniego nie należy zwlekać i wyczekiwać póki się nie zbierze materiały przygotowawcze z całego świata: do pracy trzeba się brać odrazu i robić tak jak w danych warunkach oraz okolicznościach można najlepiej. Niech więc zasobniejsi rodzice jedynaków biorą pod swój dach zdolniejszych synów ludu, niech stowarzyszenia i działacze społeczni tworzą instytucje na podobieństwo opisanych kolegiów w Lublanie, niech możni w narodzie pamiętają o fundowaniu stypendyów odpowiednich.

A tym sposobem, jeżeli nie odrazu to stopniowo, dopnie się celu.

## VII.

### Ruch trzeźwościowy.

Jako dopełnienie wytężonej pracy gospodarczej i oświatowej w Słowenii powstał w ostatnich latach ruch przeciw-alkoholizmowi. I tutaj, jak we wszystkich innych kierunkach pracy społecznej, pierwszymi pionierami byli młodzi księża.

A było to tak: przed kilku laty na imieninach czy jakimś jubileuszu jednego z kanoników w Lublanie znalazło się dwóch młodych wikaryuszów, którzy nie chcieli pić wina.

Horrendum!

W kraju posiadającym winnice zjawiają się ludzie, którzy nie chcą pić wina!

Rozumie się powstaje oburzenie ogólne zgromadzonych na uroczystości.

Młodzi wikaryusze obstają przy swoim.

Wznosi się zdrowie solenizanta,—ci chcą je pić limonadą.

Gospodarz domu czuje się dotkniętym.

Obrazę jego dzielają wszyscy obecni proboszczowie, kanonicy, dziekani.

„Co to?! dwóch młodziaków śmie występować przeciw tradycyi! Chcą nauki moralne da-

wać starszym od siebie i wiekiem i godnością hierarchiczną?!!! Trzeba nauczyć młodziaków, złamać ich upór!!!

Jeden z kanoników, bezpośredni przełożony winowajców ogólnego zgorśzenia unosi się i... nakazuje im wypić zdrowie winem.

Wikaryusze spokojnie, z godnością odpowiadają, że znają prawo kanoniczne i wiedzą, kiedy winni są posłuszeństwo swym przełożonym; a ponieważ otrzymany nakaz leży po za sferą praw, więc bardzo im przykro, ale go nie spełnią, bo jest przeciwny ich własnym przekonaniom wewnętrznym.

Robi się tedy gruba awantura. Sprawa opiera się o biskupa. Ten wysłuchuje obie strony, i... i przeważa szalę na stronę młodych pionierów abstynencyi.

W najbliższym liście pasterskim biskup zwraca uwagę, iż rzeczywiście nazbyt dużo się w całej dyciezyji pije; że księża powinni dawać przykład umiarkowania parafianom i mniej sute urządzać przyjęcia z okazji odpustów czy innych wydarzeń. Zarazem jednak zwraca uwagę młodym propagatorom antyalkoholizmu, aby hasła swoje wprowadzali w życie z miłością, bez naruszenia przyjaznego współżycia i braterskiej życzliwości względem współtowarzyszy duchownych.

Z ogólnego tonu tej części listu, która była poświęcona sprawie wstrzeźliwości, widocznym było, iż biskup chciał dopomóc młodym bojownikom o trzeźwość ludu w ich pracy; ale tymczasem owym nieszczęsnym frazesem o „*naruszaniu braterskiej życzliwości*” utrudnił im ogromnie stanowisko wśród reszty księży.

Gdziekolwiek się znaleźli w liczniejszym gronie zebranych ci dwaj pionierowie abstynency, — zmuszano ich zaraz do picia: „jesteście zwolennikami wstrzemięźliwości, — dobrze, nie mamy przeciwko temu, — zresztą my wszyscy jesteśmy przeciwni pijaństwu, ale dla towarzystwa możecie się z nami napić po szklance wina!” — „Co? nie chcecie? więc naruszacie „przyjazne współzycie,” występujecie przeciw „braterskiej życzliwości,” jaknajwyraźniej sprzeciwiacie się tem samem poleceniom biskupa!”

Nieszczęśni abstynenci w sutannie przechodzili istne tortury; stronić też poczęli od wszelkich zebrań, a za to usilniej rozwijali propagandę swoją, oddziaływując na pojedyncze jednostki czy to wśród parafian, czy też wśród koła bliżej znajomych księży. Stopniowo więc grono zwolenników powiększało się, a wzrastający ruch trzeźwościowy zmuszał coraz szerszy ogół do zastanawiania się nad sprawą używania napojów alkoholowych, co nie było bez znaczenia dla idei przewodniej, której służyli ci pionierzy.

Wśród takich okoliczności nadszedł zjazd dyecezyalny duchowieństwa w celu omówienia różnych spraw bieżących, dotyczących wiary, kościoła i duchowieństwa.

Poruszano też kwestyę oddawania się księży myśliwstwu, przyczem orzeczono, że ponieważ w pewnych wypadkach jest to jedyna rozrywka, więc nie nakazywać duchownym zupełnego powstrzymania się od polowań.

Po sprawie myśliwstwa przysłała kolej na abstynencyę.

Tak się jednak złożyło, że ów ksiądz propagator antyalkoholizmu, który się szykował do wystąpienia gorącego w tej kwestyi, znajdował



Aż kiedyś wyjechał w objazd dyecezyi; skorzystali z tego ci, którym abstynencya biskupa była nie na rękę; przy pierwszej okazji jak zaczęli go prosić, błagać, „żeby dbał o swoje zdrowie, zagrożone nagłem wyrzeczeniem się wina,”—tak postawili na swoim: biskup wypił szklaneczkę wina.

Rozumie się nie omieszkali rozgłosić natchmiast tego faktu, jako oczywistego dowodu, że abstynencya jest nonsensem, bo nawet biskup nie mógł jej zachować!

. . . . .

Biskup tymczasem o ile przedtem męczył się abstynencyą, o tyle teraz mocno był niezadowolony z siebie, że nie wytrzymał w postanowieniu.

Rozumiał przytem dobrze, o ile swą osobą utrudnił pracę młodemu stowarzyszeniu wstrzeźliwości.

Chcąc tę szkodę wynagrodzić występuje do prezesa stowarzyszenia z projektem, żeby utworzył specjalny rodzaj członków obowiązanych tylko do umiarkowania, gdyż chce wszystkim księżom zalecić wstąpienie do związku abstynenckiego.

. . . . .

Przedstawiciele stowarzyszenia nie godzą się jednak z tym projektem, wychodząc z tego stanowiska, iż

1-o, „umiarkowanie” jest to taka rzecz, której granice dla każdego człowieka są inne i ogólnie określić jej nie można,

a 2-o wstrzeźliwość winna się zasadzać na dobrej woli—i związek nie pożąda bynajmniej członków, którzyby z musu należeli, lecz pragnie skupiać jedynie ludzi przekonanych i oddanych sprawie!

Biskup przyznaje słuszność, cofa się ze swym projektem, ale ani na chwilę nie przestaje popierać przy każdej sposobności kierowników całego ruchu, na czele którego stanęli od owego opisanego zjazdu ów profesor seminarium i ów redaktor miesięcznika katolickiego.

Powstaje wreszcie z pozwolenia biskupa pismo, redagowane przez jednego z młodych księży a poświęcone całkowicie zwalczaniu alkoholizmu.

Jest to wojowniczo usposobiony miesięcznik, który szeregiem artykułów gorących robi znaczną wrzawę w społeczeństwie. Odważnie rzucającymi wywodami jego zajmuje się cała prasa i cały ogół. Rozumie się, ów impet, z jakim pismo rozpoczęło służenie idei wstrzeźliwości, znów ludzi zaczął bardzo kłuć w oczy. Więc ci, którym cała ta coraz energiczniejsza akcja trzeźwościowa była z jakichkolwiekby powodów niewygodna, powzięli myśl skrócenia jej karku raz na zawsze. I wzięli się do rzeczy wcale sprytnie.

Trzeba bowiem wiedzieć, że na ziemiach, zamieszkałych przez Słoweńców, a specjalnie w Krainie alkohol używany jest najobficiej w formie wina i piwa, wódka mniej jest rozpowszechniona. Cała tedy propaganda antyalkoholiczna jest przedewszystkiem skierowana przeciw tym dwom napojom.

Jak już wiadomo ruch trzeźwościowy zainicjowali i prowadzili księża, ale „roztropni sy-

nowie tej ziemi" postanowili i na księży propagatorów znaleźć środek radykalny. Oto Franciszkanie w Lublanie wydają dla bractw tercyarskich pisemko religijne p. t. „Kwiaty z ogrodów św. Franciszka." Różni więc przeciwnicy zbytnej trzeźwości postarali się pocziwych a gorliwych o wiarę zakonników zwrócić przeciw propagandzie antyalkoholicznej, jako sprzeciwiającej się podstawom religii.

Gdzie Rzym, gdzie Krym?

A jednak na łamach pisma religijnego padł zarzut przeciwreligijności ruchu abstyneckiego. Zjawił się bowiem artykuł, w którym redakcyja broniła wina i oburzała się srodze na abstynentów, że śmiały potępiać ten napój; a przecież Pan Jezus na ostatniej wieczerzy zamienił wino w Krew Swoją, a przecież poprzednio jeszcze na godach w Kanie zamienił wodę w wino, aby biesiadnicy weselni napoju dosyć mieli. Z tego więc wniosek zrobiono, że używanie wina jest aprobowane przez Pana Jezusa. *Ergo* kto występuje przeciw winu—występuje przeciw chrześcianizmowi wogóle a wyznaniu katolickiemu specjalnie. Słowem abstynenci zostali obwołani za heretyków a ich propaganda za antyreligijną!

Wystąpienie to gazetki franciszkańskiej stało się bardzo nieprzyjemnym zgrzytem, tem przykrzejszym, iż ogólnie wiadano, że autorem omawianego artykułu był zakonnik znany ze szczególnie wstrzemięźliwego życia, który tylko uniesiony gorliwością religijną dał się użyć za narzędzie przeciw propagandzie trzeźwościowej.

Miesięcznik abstynencki nie pozostawił tych dowodzeń franciszkańskich bez odpowiedzi: wykazał, że rozumowanie autora owego artykułu podobne jest do logiki myślenia ciemnego ludu

w niektórych krajach Europy, gdzie gołębie otaczane są pewną czcią religijną i zabicie gołębia za grzech jest poczytywane, bo... przed wiekami Duch św. zstąpił przy chrzcie P. Jezusa w postaci gołębia.

Tym sposobem ze sprawy wstrzemięźliwości od alkoholowych napojów wywiązała się polemika o zabarwieniu ściśle religijnem. Ale gdy jeden z profesorów seminaryum oświadczył na jakimś liczniejszym zebraniu, że gdyby mu na egzaminie alumn wystąpił z podobnymi wywodami, jak ów autor artykułu w gazecie franciszkańskiej, to by go bez apelu na drugi rok na tym samym kursie zostawił, — zakonnicy wówczas postarali się o wycofanie z całej polemiki. Na tem się skończył pierwszy okres rozwoju ruchu trzeźwościowego wśród słoweńców. Nastąpił drugi nieco spokojniejszy, mniej przeszkód spotykający. Okres ten trwa obecnie.

Podane powyżej początkowe dzieje ruchu abstyneckiego opowiadano mi z przytaczaniem nazwisk osób i dat ścisłych. Szczegóły te opuściłem, bo ostatecznie dla nas nie mają większego znaczenia, a podając je sprawiłbym przykreść tym z bohaterów owych wydarzeń, którzy z biegiem czasu zmienili swe wrogie stanowisko względem abstynencyi, a nawet stali się jej poplecznikami.

Tem niemniej cały ten przebieg początkowych walk, trudności i szykan, z jakimi spotykała się propaganda antyalkoholiczna wśród słoweńców jest pouczającym dla nas, a zwłaszcza dla naszych działaczy społecznych, gdyż wskazuje dowodnie, że nie nigdzie nie szło tak łatwo, — a jeżeli gdzieindziej osiągnane są lepsze wyniki pracy, to jest w tem zasługa przede-



wszystkiem energii i wytrwałości tych, którzy pewnej sprawie służą.

Na zakończenie kilka danych z rozwoju ruchu trzeźwościowego: towarzystwo „*Abstynent*” istnieje w Lublanie od roku 1903-go i stale się rozwija coraz lepiej. Obecnie powstają nowe jego filie w innych pomniejszych miastach słoweńskich. Według ustawy do stowarzyszenia tego mogą należeć nietylko ci, co zobowiązują się do ścisłej abstynencji, ale też i tacy, którzy zobowiązują się do częściowej wstrzeźliwości np. od wódki tylko. Celem wprowadzenia tych różnych kategorii członków jest ułatwienie przystępowania do stowarzyszenia tym, którym odrazu całkowite wyrzeczenie się wszystkich napojów alkoholowych byłoby rzeczą nazbyt trudną do uskutecznienia. A przy takim systemie ludzie powoli wciągają się do stowarzyszenia i z biegiem czasu stają się zupełnymi abstynentami.

Pierwszem pismem, które niepodzielnie oddało się na usługi ruchu trzeźwościowego był miesięcznik „*Piszczałka*”, redagowany z temperamentem przez ks. Leopolda Lénarda, a przeznaczony według brzmienia nagłówka „dla abstynentów, pijących i pijaków.” Po roku, z powodu wyjazdu ks. Lénarda „*Piszczałka*,” zrobiwszy wielkie poruszenie wśród ogółu swoimi artykułami, przestała wychodzić. Następczynią jej została „*Złata Doba*” również miesięcznik, pisany mniej radykalnie, traktujący sprawy więcej po akademicku. Oprócz pism specjalnych sprawę alkoholizmu omawiają liczne broszury tanie, z których kilka wydało swoim nakładem chrześcijańskie stowarzyszenie robotników słoweńskich. Wogóle pocieszającym zjawiskiem jest

fakt, że ruch trzeźwościowy, powstały początkowo w łonie duchowieństwa, tak szybko się przyjął wśród robotników i w znacznej liczbie pozyskuje sobie wśród nich zwolenników. I jednym z gorliwszych współczesnych propagatorów antyalkoholizmu wśród słoweńców jest poseł-robotnik Gostinczar. W znacznym stopniu dla sprawy trzeźwości zasłużeńi są: dr. Jan Krek, poseł do parlamentu, redaktor Uszeniczny, i kanonik J. Kalan. Po za nimi stoi już cały szereg duchownych bojowników abstynencyi; świeccy propagatorowie tego ruchu są jeszcze w mniejszości: — jak zwykle wśród słoweńców, *we wszelkich zapoczątkowaniach, pożytecznych dla społeczeństwa, pierwsi są zawsze księża.*

---

## VIII.

### Wieś.

W ciągu poprzednich rozdziałów parokrotnie już zaznaczałem, że *słoweńcy są narodem chłopskim*: inteligencji rodowej nie mają, a inteligencya, jaka jest obecnie, wyszła całkowicie z łona włościaństwa.

Dla poznania więc słoweńców nie wystarczy choćby najdłuższy pobyt w miastach, bo na wsi dopiero występują wszystkie rodzime, przymioty ich charakteru w swej czystej formie. Zresztą to samo powtarza się wszędzie i w narodach, w których włościaństwo stanowi znacznie mniejszy procent ogółu: nigdzie poznanie mieszczaństwa bez znajomości ludności wiejskiej nie da dokładnego pojęcia o charakterze narodu.

Kierowany tymi poglądami nie zaniedbywałem żadnej okazji, aby jaknajczęściej na wsi słoweńskiej bywać, z ludnością wiejską stykać się i zapoznawać. A że w ciągu kilkumiesięcznego pobytu sposobności takich była liczba znaczna, więc też wcale dokładnie przyjrzałem się życiu wsi słoweńskiej i jej mieszkańców.

Żywo mam w pamięci pierwszą swą wy-  
cieczkę wiejską, którą dokonałem na drugi dzień  
po przybyciu do Lublany. A pierwsze dodatnie  
wrażenia jakie wtenczas odniosłem nietylko nie  
zatarły się później, ale coraz się z każdym no-  
wym pobytem na wsi bardziej utrwały.

Jechałem wczesnym rankiem dwuosobową  
karetką pocztową. Jazda nie odznaczała się  
pośpiechem, o co bynajmniej do pocztyliona  
pretensyi nie miałem, bo mogłem dokładniej  
rozglądać się w pięknym krajobrazie, uważniej  
przyglądać się napotykanym ludziom. Pocz-  
tylion oddawał pakiety, zabierał korespondencyę  
nietylko w napotykanym urządach pocztowych  
ale na każdym kroku prawie wzdłuż całej od-  
bywanej drogi. Na odgłos nadjeżdżającej ka-  
retki wychodziły kobiety z chat: jedna zabierała  
zamówione dnia poprzedniego drożdże, inna róż-  
ne towary kolonialne, a jeszcze inne oddawały  
listy i paczki do dalszych miejscowości. Co ka-  
retka przystanęła, wymijały ją śpieszące do do-  
mu dziewczęta i starsze kobiety, energicznie po-  
pychając przed sobą lekkie dwukołowe wózki  
z resztkami niesprzedanych w mieście warzyw.  
Pocztylion znał wszystkich, przejeżdżając pozdra-  
wiał tych i owych, rzucał dowcipami i uwagami  
w stronę napotykanym dziewcząt z warzywami  
lub pogwizdywał głośno na konia, gdy ten pod  
górzę nazbyt zwalniał i tak już niepospieszną  
jazdę. Zapewne, gdyby komu się bardzo spie-  
szyło, toby go ta pełna sielskich i sielankowych  
powabów jazda, poważnie mogła z równowagi  
wyprowadzić; ale ja byłem naprzód uprzedzony  
o długości trwania jazdy, a przytem tak się do-  
brze czułem wśród tych o pogodnych obliczach  
ludzi na tle pięknego krajobrazu górskiego, ską-



panego w blaskach słońca pod lazurową kopułą nieba, że i na jeszcze powolniejszą jazdę nie byłbym w stanie sarkać.

Robota na polach była w całej pełni; wszędzie zwijały się gromadki pracujących, tu i owdzie rozlegał się śmiech dźwięczny lub piosnka.

Wogóle widać było, że ci ludzie z pracy nie robią dramatu.

A trzeba wiedzieć, że praca na polu wobec górzystości położenia dużo jest cięższą niż w równinach. Półka uprawne nieraz są na takiej pochyłości, iż o oraniu wykonania nie może być mowy i trzeba je uprawiać ręcznie, a górskie łączki kosić nieraz nie da się inaczej, jak zakładając specjalne żelaza na nogi, i z ich pomocą dopiero można się utrzymać na stromych zboczach gór.

Przy tak ciężkiej pracy słoweniec nie traci jednak pogody ducha i nie narzeka na swą dolę. Przyczynia się zapewne do tego spokój o przyszłość, gdyż, dzięki całej sieci różnych instytucji społecznych i stowarzyszeń ekonomicznych, gospodarz wiejski w Krainie zawsze znajdzie pomoc w chwili krytycznej i to pomoc szybką, doraźną, bez lichwiarskich ciężarów. Zresztą, wobec rozmaitego typu związków samopocy, każdy prawie ma jakieś zasoby pieniężne, wobec czego z większą równowagą umysłu może oczekiwać różnych niepowodzeń, tak powszednich i nieuniknionych w gospodarstwie.

Jeżdżąc tu i owdzie po ziemiach, zamieszkałych przez słowenców, literalnie nie spotkałem wsi kościelnej, w której by nie było chociaż paru jeżeli nie kilku stowarzyszeń jako to: kasa Reiffeisena, kółko gospodarskie, (odpowiadające naszym rolniczym), stowarzyszenie hodowlane,

mieczarnia spółkowa, czytelnia z biblioteką, towarzystwo oświatowe (*izobraživalno drusztvo*) przy którym istnieje zwykle jakiś chór, orkiestra, a które skupia w sobie i podnosi poziom wiejskiego życia towarzyskiego.

Widziałem wsie, w których było po pięć i sześć różnych stowarzyszeń i wszystkie pracowały normalnie, rozwijając z powodzeniem swą działalność. Nieraz mi się zdawało, że to jest rzeczą błędną takie rozczłonkowanie pracy społecznej, a jednak przekonałem się, iż system ten ma swoje dobre strony. Specjalizacya pracy i w obrębie stowarzyszeń dodatnie wydaje rezultaty. W Królestwie Polskiem sposób ten do czasów ostatnich nie mógł być stosowany ze względu na warunki panujące. Wyjednanie pozwolenia na jakiegokolwiek stowarzyszenie było połączone z tyloma trudnościami, że żadne zrzeszenia nie mogły powstawać w dostatecznej ilości. Z tego względu te związki, które powstawały, starały się objąć jaknajszerszy zakres pracy społecznej, a w tym celu układały dla siebie obszernie możliwie wszechstronne ustawy, ogarniające bardzo szerokie pole działania. Tym sposobem każde niemal stowarzyszenie oprócz celu głównego tyle sobie wytykało zadań ubocznych, że tylko w nadzwyczajnych wypadkach mogło swój program wypełniać. Najczęściej jednak albo cel główny ginął wśród mnóstwa ubocznych, albo żadne z zadań nie było wypełnione. To drugie zdarzało się częściej wobec chronicznego braku ludzi, chcących i mogących z pożytkiem pracować na społecznej niwie.

Podobny okres w rozwoju stowarzyszeń i związków zauważyć można również w Krainie w licznych ustawach zrzeszeń kulturalno-oświa-

towych, dawniej powstałych. Obecnie jednak dla każdej nowej potrzeby społecznej tworzone jest nowe stowarzyszenie i wogóle silnie zaznacza się dążenie, aby związki skupiały swą działalność w jednym jasno i wyraźnie wytkniętym kierunku. Bezwarunkowo taki porządek rzeczy znakomicie zwiększa intensywność pracy wszelkich towarzystw. Teraz, gdy bądź co bądź i u nas większa jest łatwość powoływania do życia zrzeszeń zwłaszcza ekonomicznych, stanowczo o podobnej specjalizacji działalności stowarzyszeń pomyśleć należy. Rozumie się nie jest to sprawa, którą z dziś na jutro zrobić można, pamiętać jednak o tej zasadzie specjalizacji przy powstawaniu nowych stowarzyszeń ustawicznie wypada i potrzeba. Kwestya ta ważna jest jeszcze i z tego względu, że tak jak u nas, gdzie ludzi dopiero potrzeba wyrabiać w pracy społecznej, łatwiej jest wyrobić kogoś w stowarzyszeniu jednolicie w pewnym zakresie pracującym, niż w towarzystwie o działalności na wszystkie strony rozproszonej.

Jeżeli idzie o wyrobienie społeczne ludności wiejskiej, to wśród słoweńców całkowicie się potwierdziło doświadczenie, gdzieindziej wszędzie już zrobione, że najlepszymi w tym kierunku są kasy pożyczkowo oszczędnościowe systemu Reiffensena. Jak wiadomo kasy te oparte są na zasadzie nieograniczonej poręki t. j. każdy członek za interesy odpowiada całym swoim majątkiem. Wobec tego wszyscy członkowie dla własnego dobra dopilnowują prawidłowej działalności kasy; w dawaniu pożyczek nie powodują się względami przyjaźni, znajomości czy powinowactwa lecz rzeczywistą wartością moralną i odpowiedzialnością kredytową starającego się o pożyczkę, przestrze-

gają również porządku w akuratnem spłacaniu przyjętych zobowiązań. Słowem włościanie w kasach Reiffeisena przyuczają się do poważnego i solidnego traktowania interesów, wyrabiają w sobie poczucie solidarności i terminowości w regulowaniu rachunków, nabierają racjonalnego pojęcia o kredycie i jego znaczeniu oraz pożytku gospodarczym. Wyrabianie się społeczne w kasach Reiffeisena tym szybciej postępuje, że właśnie mają one ściśle wytkniętą sferę działania, nie dopuszczającą zboczeń i rozproszeń.

„W kasach Reiffeisena”—nadmienia S. Saryusz Zaleski—*wymagana odpowiedzialność kredytowa* nie tyle polega na bogactwie człowieka poszukującego kredytu, — ile chodzi o to, żeby przedstawiał on rękojmię, że pieniądze przezeń zużytkowane będą dobrze: że obróci nimi z korzyścią dla siebie, a bez straty dla kasy. Wynika z tego samo przez się, że każdy kto miałby zamiar kiedyś w przyszłości o pożyczkę się starać,—ma się na baczności: każdy dba o to, aby prawością, obrotnością, zabiegliwością i umiejętnem prowadzeniem spraw swoich zyskać dobre imię, wyrobić sobie u swoich kredyt moralny, bez którego nie pozyska kredytu pieniężnego, jakiego kiedykolwiek potrzebować może:

„*Czuwaj sam nad sobą jeżeli chcesz, aby ci się dobrze w interesach działo!*”—w ten sposób przemawiają kasy Reiffeisena—mając argumenta dobitne i jaknajrealniejsze. W działaniu ich tkwi nieporównany wpływ społeczny, urabiający ludzi samych przez się i samych sobie nie tylko bez żadnych kosztów, ale udzielając jeszcze w swoim zakresie swego rodzaju „premium cnoty.”



„Kasy Reiffeisena na wsi — to najcenniejsza szkoła gospodarczego i społecznego życia!”

Wieś słoweńska wogóle nie bywa zbyt wielka; jeszcze tam, gdzie jest kościół parafialny, można doliczyć się kilkudziesięciu domostw; ale częściej wioski są porozrzucane po zboczach gór na dosyć znacznej przestrzeni. Domy mieszkalne są po większej części murowane, pokryte dachówką z gliny, cementu lub szyfru. Cementowe i gliniane dachówki używane są po dolinach, szyfrowe przeważnie na budynkach w górach aby się skuteczniej opierać mogły jesiennym i zimowym wiatrom. Pokrycie gontami lub słomą należy już obecnie do rzadkości i tylko w bardzo zapadłych miejscowościach częściej się spotyka.

Większość gór słoweńskich porośnięta jest lasami, z których spora ilość znajduje się w rękach drobnych gospodarzy, więc wznoszenie murowanych pomieszczeń nie jest bynajmniej wynikiem braku drzewa, ale jedynie wywołane zostały względami trwałości i bezpieczeństwa od ognia. Dbałość o to bezpieczeństwo posunięta jest bardzo daleko, dowodem wielka ilość wiejskich straży ogniowych. Jak się przejeżdża przez wsie w Krainie, w każdej niemal ujrzeć można wysoki w kształcie baszty, zazwyczaj murowany, budynek z napisem „*Gasilni dom.*” Taka baszta strażacka służy do ćwiczeń dla członków wiejskich straży ochotniczych, a na dole mieszczą się w niej narzędzia i przyrządy przeciwpożarowe. Ćwiczenia strażackie odbywają się zwykle w niedziele i są rodzajem rozrywki dla całej wsi, a wielką uciechą dla wiejskich podrostków, którzy niejednokrotnie tworzą między sobą straż na wzór starszych i w papiero-

wych kaskach z wielką powagą powtarzają ćwiczenia, wykonywane w pobliżu przez straż rzeczywisłą. Te zabawy dzieciarni mają też swoje dobre strony, bo 1-mo chłopcy, zaprawiając się od małości w ćwiczeniach strażackich, wyrastają później na dzielnych strażaków, a 2 o, obznajmieni ze sposobami ratowania od ognia, nieraz jako dzieci jeszcze oddają usługi rzeczywiste na wypadek wybuchu pożaru.

Ludność słoweńska wiejska ma się dosyć dobrze. Rozumie się o nadzwyczajnych bogactwach niema mowy, ale biedy nie widać. Chleba wszyscy mają dosyć; a jeżeli emigracya do Ameryki jest stosunkowo znaczna, to pociąga ludzi chęć lepszego bytu i lżejszej pracy. W celu zmniejszenia tej emigracyi posłowie słoweńscy starają się o możliwe przyspieszenie przeprowadzenia w parlamencie wiedeńskim prawa o ubezpieczeniu na starość robotników rolnych, coby znacznie wpłynęło na wstrzymanie od wychodźstwa ludzi tej kategorii.

Słoweńcy wieśniacy dobrobyt swój czerpią nie tyle z samego rolnictwa, które, z powodu naturalnych warunków położenia kraju, w bardzo wielu okolicach szerzej traktowane i uprawiane być nie może,—ile głównie z prowadzenia gospodarstwa przemysłowego. Mleczarstwo i leśnictwo w jednych okolicach, a winogradnictwo w innych stanowią poważne źródła dochodu dla gospodarzy słoweńskich. W wielu miejscowościach znaczne również źródło dochodu dodatkowego przedstawia wskrzeszony w ostatnich latach przemysł ludowy, który szczególnie pomysłnie się rozwija w małym przemysłowej Krainie. Przemysł ludowy wśród słoweńców przed laty rozwinięty był dosyć szeroko, ale stopniowo

wskutek konkurencji wzrastającego w ościen-  
nych prowincjach przemysłu fabrycznego począł  
się chylić do upadku, a nawet w niektórych  
miejscowościach upadł prawie zupełnie. I oto  
znowu grono młodych księży stanęło do pracy  
i znowu ze znakomitymi wynikami.

Przedewszystkiem starsi alumni [w czasie  
wakacyi letnich i młodszy wikaryuszowie syste-  
matycznie w ciągu lat kilku zbierali wiadomo-  
ści o kwitnących dawniej rodzajach przemysłu  
domowego i o ich obecnym stanie. Zebrane  
tym sposobem porównawcze dane statystyczne  
ogłaszane były w miesięczniku „*Dom in Svet*”,  
i posłużyły do przedsięwzięcia skutecznych usiło-  
wań podźwignięcia tych upadających gałęzi dobro-  
bytu.

Tak np. w okolicach miejscowości Pod-  
nart-Kroppa w Krainie przed laty, mieszkańcy  
z powodu upadku przemysłu gwoździarskiego  
zeszli na żebraków w dosłownem tego słowa zna-  
czeniu i żebrzących z tamtych stron można by-  
ło spotkać w całej Krainie. Dziś przemysł  
gwoździarski znowu wśród nich rozkwita i lud-  
ność znowu jest na drodze do lepszego bytu.

Jak przemysł gwoździarski w okolicach  
Podnart-Kropki, tak bednarstwo w dolinie Sie-  
leckiej, tak kapelusznictwo słomkowe w okoli-  
cach Mengszu, tak garncarstwo, sitarstwo i ko-  
szykarstwo w innych stronach kraju odżyło  
i zakwitło. Nowym do pewnego stopnia ro-  
dzajem przemysłu domowego jest wyrób da-  
chówki cementowej, której używanie coraz bar-  
dziej się rozpowszechnia w budowlach więj-  
szych.

U nas w Królestwie, gdzie Towarzystwa  
Ubezpieczeniowe podjęły w ostatnich latach

czynną agitację w kierunku zachęcenia gospodarzy wiejskich do dachów ogniotrwałych, ten ostatni rodzaj przemysłu wiejskiego miałby wiele widoków powodzenia zwłaszcza w tych okolicach, gdzie w miejscu znajduje się piasek ostry, do wyrobu dachówek cementowych niezbędny.

Obecnie myślą jeszcze w Krainie o dźwignięciu grzebieniarstwa i utrwalenia rozwoju garncarstwa, koszykarstwa i sitarstwa na wzór mających silne podstawy ekonomiczne bednarstwa, kapelusznictwa, i gwoździarstwa które na zasadach oparto współdzielczych.

Niemniej od niektórych rodzajów przemysłu ludowego rozwija się w ostatnich czasach wśród słoweńców mleczarstwo. Pracują w tym kierunku związki hodowlane, starające się o poprawę rasy inwentarza, i mleczarnie związkowe, które znów zajmują się zbytem produktów mlecznych. Właściwie przerabianiem mleka na ser i masło zajmują się mleczarnie daleko od linii kolejowych położone, gdyż wszystkie inne przekładają sprzedaż mleka do miast, co jest daleko korzystniejsze. Jak już wspomniałem w jednym z początkowych rozdziałów wyszukiwaniem rynków zbytu i pośrednictwem handlowem w tym względzie zajmowała się „*Gospodarska Zveza*”, centrala związków rolniczych. Dowiedziałem się jednak w chwili kończenia druku książki niniejszej, że wobec szybko zwiększającej się ilości mleczarni spółkowych uznano za pożądane założenie specjalnej centrali dla nich i powstała obecnie „*Mlecarska Zveza*” w Lublanie. Jest to niewątpliwie nowy pomysły czynnik dla dalszego rozwoju gospodarstwa mlecznego na ziemi słoweńskiej.



Niemniej do podniesienia mleczarstwa przyczynia się szkoła zawodowa z wzorową mleczarnią, istniejąca w Vrhnice. (*Vrhnika*, czyta się Werchnika, po niemiecku nazywają Ober Laidach, miasteczko niedaleko Lublany, połączone z nią koleją lokalną). Co rocznie odbywają się w niej w okresie zimowym kilkomiesięczne kursy mleczarstwa, maślarstwa i serowarstwa. Szkoła mieści się w ładnym budynku piętrowym, umyślnie na ten cel wzniesionym. Na parterze mieści się właściwa mleczarnia wraz z maślarnią oraz pracownią chemiczną i kancelarya. Serowarnia znajduje się w wysokich suterrenach. Na piętrze sale wykładowe i sypialnie dla uczestników kursów, przybyłych z dalszych okolic. Wszystkie najnowsze postępy w zakresie przemysłu mleczniczego są w tej wzorowej mleczarni szkolnej zastosowane, dzięki czemu mleczarnie włościańskie różnych nowych maszyn czy przyrządów nie potrzebują wprowadzać u siebie na ślepo, gdyż zawsze mogą korzystać z doświadczeń, przeprowadzonych w szkole mleczarskiej.

Tym sposobem szkoła w Vrhnice nie tylko kształci i wydaje uzdolnionych kierowników mleczarni spółkowych, ale jest jednocześnie jakby stacją doświadczalną w zakresie mleczarstwa. Słowem przynosi gospodarzom wiejskim podwójną korzyść.

Wogóle wśród słoweńców zrozumiano żywo doniosłość przykładu czy to w pracy czy w gospodarce społecznej. Tak na przykład związki hodowlane zajmują się nie tylko sprowadzaniem rasowych rozplodników ale zarazem dbają, aby ta obora czy stajnia, gdzie rozplodnik jest utrzymywany, była urządzona wzorowo. Dzięki te-

mu widziałem po wsiach w Krainie obory tak urządzone, jak u nas tylko jako niedościgły ideał oglądałem na wystawach jedynie.

Miałem też sposobność zauważyć dodatni wpływ takich obór wzorowych. Jeden gospodarz w takiej wiosce urządził w swej oborze ścieki, drugi zaprowadził żłoby racjonalne, trzeci powiększył okienka, aby światła było więcej, czwarty założył przy oborze prawidłowy gnojownik, piąty zaczął dbać o większą czystość w utrzymaniu krów. Ci zaś, co wznosili nowe obory lub stajnie, już zastosowali wszystkie ulepszenia, wprowadzone we wzorowej oborze czy stajni.

Nieraz gdy zwracałem u nas uwagę włościanom a nawet pomniejszych obywatelom ziemskim na higieniczniejsze urządzenie zabudowań gospodarczych, gdy namawiałem do naśladowania wzorów, przedstawianych wielokrotnie na wszelakich wystawach, gdy przekonywałem, iż nieco większy koszt tych urządzeń sownie się wynagrodzi w poprawie inwentarza i w powiększeniu wartości nawozu, — spotykałem się zawsze z jedną i tą samą odpowiedzią. „Można sobie tak urządzić na wystawie, na pokaz na kilka dni, ale ktoby tam się bawił z higieną dla bydła w zwykłych codziennych warunkach.”

Podobne argumenty bardzo są pospolite i one to sprawiają, że wzorowe urządzenia wystaw rolniczych nie sprawiają takiego wpływu, jakiegoby oczekiwać należało.

I jeszcze jedno zaznaczyć należy, iż owe wzorowe obory nie są specjalnie oddzielnie wznoszone przez związek hodowlany, bo wten czas teżby opowiadano, że tak może urządzić swą oborę związek, ale to przechodzi możność

przeciętnego gospodarza. Zwykle tak bywa, iż zarząd związku stowarzyszeń hodowlanych zachęca przewodniczącego lub kogoś z prezydium poszczególnego stowarzyszenia w pewnej miejscowości, aby u siebie taką wzorową oborę urządził i tylko w razie potrzeby zarząd związku daje niewielką jednorazową zapomogę.

Gospodarze wiejscy widzą tedy dowodnie, iż wzorowe urządzenie obory możliwe jest nie tylko na wystawie ale i w zwykłych warunkach zastosować się daje, a mając *codziennie* przed oczyma wzór żywy, pozbywają się uprzedzeń i idą za postępem.

Znacznie też rozwinięta jest wśród słowenców, zwłaszcza w południowej części Krainy i na wybrzeżu Adryatyckiem, hodowla winnej łązy. Jeżeli nie każdy gospodarz ma swoją winnicę, to bezwarunkowo każdy przynajmniej koło domu posiada pewną ilość łąz winnych. O posiadanie własnego wina na rok cały tak dba wieśniak słoweński, jak u nas zabiega się o zdobycie odpowiedniego zapasu kapusty czy kartofli. Roczna produkcja wina w samej tylko Krainie oblicza się na miliony litrów, ale wywóz wina stosunkowo jest nieznaczny i większa część produkcji skonsumowana bywa przez ludność w miejscu. Nie należy sobie wyobrażać, iż przy takim obrocie rzeczy kraj cały roi się od pijaków. Byłoby to mylne przypuszczenie: pijanych spotyka się rzadko w Krainie, częściej to się zdarzy w więcej przemysłowej Styrii lub na pobrzeżu Adryatyckiem, gdzie oprócz wina cieszy się uznaniem arak, — zwłaszcza w dzień świąteczny pijanego można spotkać prawie tak często jak i u nas. Jeżeli jednak pijaństwo indywidualne jest mniejsze, to za to ogół ludności

więcej pije i wino codziennie do obiadu na stole zamożniejszego włościanina nie jest rzadkością, a trzeba wiedzieć, iż wino wśród słoweńców nie pija się kieliszkami lecz szklankami.

Tak więc pijaków jest niewiele, ale pijących dużo. Z napojów alkoholowych pierwsze miejsce pod względem konsumpcji zajmuje wino i piwo; arak i wódka stoją na dalszym planie. Wieś spożywa więcej pierwszych dwóch napojów, okolice nadmorskie i przemysłowe oprócz wina i piwa hołdują również wódce i arakowi.

Z tego widać, ile trudności do zwalczania ma ruch antyalkoholyczny i ile pracy wkładać muszą weń jego duchowni kierownicy skoro mimo wszystko abstynencya na gruncie słoweńskim robi stałe, choć powolne, postępy.

W gospodarstwie rolnem słoweńców poważną rolę odgrywa również kukurydza, której uprawia się wiele i kasza kukurydzana ze słoniną (bardzo posilna: ta potrawa nazywa się *zgance*) stanowi częsty posiłek wieśniaka, a zwłaszcza górala słoweńskiego, który uważa ją za przysmak. Nie jest to nic dziwnego, gdy się weźmie pod uwagę, iż górale zwykle jadają chleb, skombinowany z owsa i gryki. Chleb taki posiada goryczkę, do której się przyzwyczaić można w krótkim czasie, ale jednocześnie zawiera zbyt mało wilgoci i wskutek tej suchości tak jest duszącym w jedzeniu, że trudno go samego zjeść większą ilość. Przeważnie też górale słoweńscy jedzą go nie sam lecz z innymi potrawami. W dolinach zaś słoweńcy posiadają takie samo pieczywo żytnie jak i u nas po wsiach, a na święta i uroczystości przygotowują różnego gatunku strucle i placki z mąki kukurydzanej.



Dla uzupełnienia ogólnego szkicu wsi słoweńskiej dodać należy, iż ludność bardzo jest pobożna i pod względem religijnym głębiej uświadomiona, do czego przyczynia się zapewne nie tylko osobista praca duchowieństwa, ale również liczne rozpowszechnienie książek religijnych o wyższym poziomie, co jest już zasługą „Stowarzyszenia św. Mohora.”

Z tego co mówiłem poprzednio widać, że ludność góralska uboższa jest nieco od pozostałej ludności wiejskiej, ale pod względem oświaty i kultury górale nie ustępują doliniarzom, zarówno u jednych jak i u drugich w domu zawsze można znaleźć gromadkę książek treści praktyczno-naukowej i powieściowej, a posiadanie różnych kalendarzy i broszur religijnych jest rzeczą bez której nie można sobie wyobrazić mieszkania wieśniaka słoweńskiego.

Wogóle znaczne jest zamiłowanie do czytania zarówno wśród starszych jak i dzieci: sam nieraz widziałem, jak dziewczynka, piastująca na polu swego małego braciszka, zajęta jednocześnie była czytaniem „Domoljuba.” Popularny ten tygodnik liczy około 25 tysięcy przedpłatników i jest jednym dowodem więcej oświaty słoweńskiej ludności wiejskiej.

## IX.

### Robotnicy.

Na ziemi, zamieszkałej przez słoweńców, przemysł fabryczny jest niezbyt rozwinięty i wielkich ognisk przemysłowych, gdzieby się skupiały dziesiątki tysięcy robotników, —niema.

W Krainie największą, zdaje się, jest rządowa fabryka wyrobów tytoniowych w Lublannie, zatrudniająca około 2,300 robotnic i robotników, przyczem kobiety stanowią dziewięć dziesiątych ogółu pracujących. Po za tem w Krainie tu i owdzie znajdują się pomniejsze zakłady przemysłowe, ale wszędzie robotników jest mniej niż w lublańskiej tytoniarńi. Większe skupiny pracującej ludności słoweńskiej znajdują się dopiero po krańcach osiadłości słoweńców, jak np. w kopalniach południowej Styryi lub w portach austriackich nad Adryatykiem.

W każdym razie ludność wiejska wielokrotnie przewyższa ilościowo ogólną sumę robotników przemysłowo-fabrycznych i z tego powodu praca społeczna przede wszystkim rozwijana była na terenie wsi. Ale ostatni lat dziesiątek, wysuwający na pierwsze miejsce we wszystkich

społeczeństwach sprawę robotniczą, nie przeminął też bez wpływu na kierunek pracy społecznej i wśród słoweńców. *Slovensk'a Ludska Stranka* (Słoweńskie stronnictwo ludowe) przed laty kilkunastu rozwinęła działalność również wśród robotników, a choć praca na tem polu szła nie tak łatwo, tem niemniej dziś już może się pochlubić wielorakimi dodatnimi wynikami.

Jak wiadomo ze stronic poprzednich Słoweńskie Stronnictwo Ludowe rządzi się programem demokracji chrześcijańskiej i w tym samym duchu prowadzone są wszelkie instytucje społeczne w obrębie stronnictwa i jego siłami powstałe. Sprawami robotniczymi zajmuje się specjalnie „*Slovenska Krszczansko-Socialna Zveza*” (Chrześcijańsko-społeczny związek słoweński), która skutecznie walczy zarówno z socjalizmem jak i z liberalizmem, usiłującymi wciągnąć robotnika w swoje nieliczne na ziemi słoweńskiej szeregi.

„*Slovenska Krszczansko-Socialna Zveza*” jak wogóle większość stowarzyszeń znaczenia ogólnego powstała z zapoczątkowania d-ra Jana Kreka. Do wprowadzenia w czyn tego dzieła sporo przyczynił się też obecny poseł robotniczy do parlamentu wiedeńskiego Józef Gostinczar. Ciekawa to postać ten Gostinczar. Tkacz z zawodu, należał dawniej do socjalistów i nawet miał widoki zrobienia kariery w łonie partji. Ruchliwy jednak umysł jego nie zadawał się tem, co słyszał od wodzów partyjnych. Szukał prawdy na swoją rękę, każdą wolną chwilę poświęcał samokształceniu i z czasem doszedł do przekonania, że socjalizm złą przysługę oddaje sprawie robotniczej i nie prowadzi

do pożądanego dla ogółu celu poprawy obecnych stosunków społecznych.

Wystąpiwszy z partyi, przez lat kilka nie należał do żadnego stronnictwa, ale w dalszym ciągu pracował nad sobą. Ciężkie jednak koleje życia, jakie przechodził w tym okresie, wysuwały w jego rozmyślaniach konieczność stworzenia jakiejś organizacyi, któraby się zajęła rzetelnie poprawą doli robotniczej. W tym czasie przy jakiejś okazji Gostinczar poznał się z księdzem Krekiem, będącym wówczas profesorem nauk społecznych w seminaryum lublańskim. Dr. Krek ocenił trafnie zdolności swego nowego znajomego i postanowił go spożytkować w zamierzonej pracy społecznej. Program demokracji chrześcijańskiej w zastosowaniu do ludności robotniczej ogromnie trafił Gostinczarowi do przekonania: ujrzał w nim ziszczenie swych pragnień.

Zapoznawszy się z zasadami demokracji chrześcijańskiej, zjednał dla tej idei kilku innych robotników wśród swych znajomych; nieco swoich znajomych miał też ks. dr. Krek — i tym sposobem zebrała się grupka skromna ludzi, dzięki działalności których powstała wkrótce „Slovenska Krszczansko-Socialna Zveza.”

Gdy postanowiwszy działać wspólnie, rozpoczęły pracę od wystłuchania Mszy św., odprawionej na intencję powodzenia przez ks. Kreka, to wówczas przeciwnicy obrzucili ich kamieniami w czasie powrotu z kościoła. A dziś? Dziś „Slovenska Kr.-Socialna Zveza” liczy nie 12—jak wówczas na tej Mszy św. przed laty kilkunastu—lecz tysiące członków i setki kół, po całym kraju rozrzuconych. Tak to zwyciężyła sprawa w imię Boże rozpoczęta.



„Slovenska Krszczansko-Socialna Zveza” organizuje zarówno robotników jak robotnice, tworząc dla każdej grupy koła oddzielne. Wogóle „Zveza” rozwija wszechstronną działalność, starając się w miarę możliwości o poprawę bytu ludności, pracującej w przemyśle. „Sl. Kr.-Soc. Zveza” wybudowała w Lublanie 104 domki robotnicze z ogródkami, które z biegiem lat przechodzą na wyłączną własność udziałowców; dalej urządza doroczne kursy społeczne dla swych członków; następnie specjalne kursy praktyczne dla robotnic, mające na celu przygotowanie ich do stanowiska matki i gospodyni domu; wreszcie czynnie zajmuje się kwestyą uregulowania warunków płacy i pracy. Rozwija również obszerną działalność oświatową: zakłada czytelnie i biblioteki; wydaje pismo „*Nasza moc*”, poświęcone wyłącznie sprawom robotniczym; wydaje również książki pożyteczne jako też kieszonkowy kalendarzyk stowarzyszeniowy, w którym corocznie zobrazowana jest działalność związku oraz podawane są wskazówki dla członków i zarządów poszczególnych kół. Z książek wydanych przez „Zvezę” zaznaczyć należy takie jak „Prawa o stowarzyszeniach i zebraniach”, „Początek ruchu przeciw alkoholowemu w Słowenii”, księgi administracyjne dla związków, ustawy stowarzyszeń, sztuki ludowe dla teatrów amatorskich przy stowarzyszeniach i wiele innych.

Z tych tytułów widać, że „Slovenska Krszczansko-Socialna Zveza” zajmuje się również ruchem trzeźwościowym, co zasługuje na szczególniejsze zaznaczenie oraz uwagę zwłaszcza wśród naszych młodych stowarzyszeń robotniczych.

Większość robotników słoweńskich należy do obozu chrześcijańsko-społecznego, pomimo tego, że na polu sprawy robotniczej socjaliści wcześniej pracę rozpoczęli. Ale socjalizm jakoś nie może się przyjąć na gruncie słoweńskim. Dwie są ku temu przyczyny: 1) same zasady socjalizmu z jego zaczepnem stanowiskiem względem religii, gdy lud słoweński wielce jest religijny, 2) propagatorami socjalizmu byli najczęściej przybysze niemieccy, niesympatyczni dla ogółu z racyi swego pochodzenia.

Słabości socjalizmu na ziemiach słoweńskich dowiodły pierwsze powszechne wybory do parlamentu wiedeńskiego: większość mandatów od słoweńców zdobyła Slovenska Ljudska Stranka (Słoweńskie Stronnictwo Ludowe, rządzące się programem demokracji chrześcijańskiej) skromną mniejszość zdobyli liberali, nazywający się też narodowymi postępowcami, a socjaliści—ani jednego krzesła poselskiego. Jeżeli jednak pomimo stałego niepowodzenia stronnictwo socjalistyczne wydaje aż 3 pisma partyjne, z których dwa słoweńskie, a trzecie słoweńsko-włoskie,—to czyni to więcej dla honoru socjalizmu niż ze względu na rzeczywiste korzyści swego programu.

Charakterystycznym dla stosunków słoweńskich jest pewne powodzenie stronnictwa liberalnego w szeregach robotniczych, które najsilniej uwydatnia się w Tryeście, gdzie liczba słoweńców według ostatnich obliczeń dochodzi do pięćdziesięciu tysięcy ludności. Tłumaczy się to tem zjawiskiem, że w stosunkach wielkomiejskich robotnik zatraca religijność, skutkiem czego staje się zdobyczą stronnictw bezwyznaniowych, a ponieważ w większości ludności pra-

cującej poczucie narodowe dość silnie pulsuje, więc też i więcej tych odreligijnionych przystępuje do liberalów (*respective* narodowych postępowców) niż do socyalistów.

W każdym razie do liberalów i socyalistów razem należy trzecia część tej liczby robotników co do stronnictwa chrześcijańsko-społecznego. A taki stan rzeczy panuje jedynie dzięki usilnie prowadzonej pracy społecznej, która początkowo obejmowała tylko lud wiejski, a teraz wszystkie warstwy narodu. Że to był słuszny plan pracy w tamtejszych stosunkach to dziś potwierdza rzeczywistość, bo trzeba przytem pamiętać, iż u słoweńców wszystkie sfery wyszły z ludu, więc i od niego jak od krynicy narodu należało rozpocząć pracę pod znakiem Krzyża prowadzoną.

---

## X.

### St u d e n c i.

Jak praca społeczna szeroko rozwinięta jest wśród wszystkich warstw narodu słoweńskiego—widoczne to było z poprzednich rozdziałów niniejszej książki. Obecnie chcę zaznaczyć stosunek młodzieży do tej pracy, a głównie młodzieży uniwersyteckiej, stanowiącej kwiat narodu, jak to się zwykło było mawiać...

W Lublanie dotąd uniwersytetu niema; to też młodzież słoweńska zmuszona jest szukać wiedzy wyższej po za granicami swej ojczyzny, udając się na studia przeważnie do Wiednia, Pragi Czeskiej i Gradcu. Są też małoliczne kolonie studentów słoweńskich w Zagrzebiu, Loeben i Insbruku—ogółem kształcących się w wyższych uczelniach Austro-Węgier można naliczyć do 700 słoweńców. Liczba to znaczna i stanowczo usprawiedliwiająca natarczywość słoweńców w domaganiu się własnego uniwersytetu w stolicy swego kraju, — ale nie o to w tej chwili nam idzie.

Wśród tej rzeszy studenckiej, jak i w całym społeczeństwie, panują różne poglądy i kie-



runki, przyczem stosunek ilościowy zwolenników różnych prądów społeczno-politycznych jest dosyć różny od istniejącego w reszcie narodu.

Wiemy już, że większość słoweńców jest zwolennikami stronnictwa chrześcijańsko-społecznego; tymczasem wśród studentów słoweńskich większość hołduje zapatrywaniom liberalnym lub radykalnym. Szczególniej charakterystyczne jest istnienie słoweńskiej radykalnej studenteryi, gdyż radykalnego stronnictwa w kraju nie ma i młodzi radykaliści nie próbują nawet go wytworzyć: wystarcza im radykalizowanie za czasów studenckich, a później rozpraszają się po stronnictwach istniejących, przyczem bardzo a bardzo mała grupa byłych radykałów robi zwrot ku socjalizmowi w wieku dojrzałym.

Dosyć dokładne pojęcie o liczbowym stosunku między studentami różnych stronnictw daje ilość różnych korporacji studenckich. Istnieje ich ogółem około *piętnastu*. Tak więc w Wiedniu są: katolicka „*Danica*”, radykalna „*Slovenija*” i liberalna „*Sawa*”; — dalej w Gradcu: katolicka „*Zarja*”, radykalny „*Tabor*” i liberalny „*Triglav*”; — wreszcie w Pradze Czeskiej radykalna „*Adrija*” i liberalna „*Kirija*”.

Ciekawą rzeczą dla stosunków słoweńskich jest istnienie wakacyjnych czyli feryalnych stowarzyszeń studenckich, które rozwijają swą działalność głównie w okresie wakacji letnich, kierując pracą społeczną swych członków. Do takich należą katolicka „*Slovenska dijaszka zveza*”, oraz radykalna „*Prosveta*”. Po za temi dwoma jest jeszcze pięć innych, w różnych miejscowościach działających, które nie posiadają spe-

cyalnego zabarwienia i stoją ogólnie na gruncie narodowym. Takimi są „*Gorotan*” w Karyntyi, „*Adrija*” na pobrzeżu Adryatyckiem (należy je odróżniać od stowarzyszenia tejże nazwy w Pradze Czeskiej), „*Bodocznost*” w Styryi, „*Sava*” i „*Savica*” w Krainie.

Idea więc zrzeszeń szerokie znajduje zastosowanie wśród młodzieży słoweńskiej, na której pochwałę i to jeszcze dodać należy, iż słoweńskie stowarzyszenia studenckie wyróżniają się od niemieckich mniejszem uprawianiem kultu piwnego, a większą uwagę zwracają na samokształcenie i udział czynny w pracy społecznej. Zbieranie funduszków na instytucje oświatowe, jak np. „*Družba sv. Cirila in Metoda*”, zakładanie czytelni wiejskich lub urządzanie bibliotek latających w prowincjach walki narodowej z Niemcami lub Włochami — to wszystko jest pełnione przeważnie przez studentów, a bez żadnej stronnicości przyznać trzeba, iż członkowie katolickich stowarzyszeń prym wiodą w tym kierunku.

Początkowo bowiem radykalne i liberalne stowarzyszenia studentów słoweńskich całkowicie wzorowały się na niemieckich „*Burschenschaften*” i tak samo hołdowały picu piwa i robieniu burd; dopiero gdy w roku 1894 powstała w Wiedniu katolicka „*Danica*”, a wkrótce w Gracu „*Zarja*” — odrazu podniósł się poziom wszystkich słoweńskich stowarzyszeń studenckich, a zwłaszcza w tych dwóch miastach.

Katolickie związki zajęły stanowisko opozycyjne względem burszowskich obyczajów; wystawiły hasło pracy nad sobą i dla ogółu, czem zmusiły i wszystkie inne stowarzyszenia mło-

dzieży słoweńskiej do zastanowienia się nad dotychczasową swoją działalnością. Zamiast dotychczasowej pijatyki rozpoczęło się teraz współzawodnictwo w rozwijaniu pracy społecznej i trzeba przyznać, iż młodzieży słoweńskiej niejedną rzecz dobrą cały ogół zawdzięcza.

Stosownie do podziału pod względem zaopatrywań na trzy grupy zasadnicze, studenci słoweńscy posiadają też trzy własne organy: „Omladina”, „Svoboda” i „Zora”. Ten ostatni miesięcznik, będący pismem katolickiego odłamu studenteryi, wyróżnia się powagą tonu i żywotnością bez spekulacyi na efektowne frazesy. „Zora” wychodzi od roku 1894-go w zeszytach miesięcznych, objętości arkusza druku wielkiej ósemki. Od wakacyi roku 1907-go „Zora” wprowadziła półlarszowy dodatek pod nagłówkiem „Srednjeszolec”, przeznaczony dla uczniów szkół średnich. Redakcyja „Zory” znajduje się w Wiedniu, ale pismo drukowane jest w udziałowej tłoczni katolickiej w Lublanie.

Pierwszymi słoweńcami, jakich w swoim życiu poznałem, byli właśnie członkowie „Danicy” w Wiedniu, stojący blisko redakcyi miesięcznika „Zora”. Zaznajomienie to odrazu sympatycznie usposobiło mię dla całego narodu, a bliższe następnie obcowanie przez czas dłuższy bynajmniej tego pierwotnego usposobienia nie zmieniło. Energia, przedsiębiorczość i wytrwałość w czynie, a wyrozumiałość dla cudzych uchybień czy błędów — oto sympatyczne cechy „danicowca” w Wiedniu lub „zarjanisty” w Gradcu. Znać w ich postępowaniu, iż tam niema tylko samego szyldu katolickiego, za który nieraz lubi się kryć ospalstwo, niezaradność i nieudolność — ale że ci ludzie gruntownie zdają

sobie sprawę z obowiązków społeczno-narodowych katolika współczesnego.

Dzięki temu wszystkiemu, choć słoweńska studenterya katolicka (ciągle mówię o tych, którzy mają cywilną odwagę jawnie stanąć pod znakiem Krzyża) stanowi mniejszość — mimo to liczą się z nią poważnie i radykaliści i liberali.

Tutaj wyjaśnić należy, skąd to wynika, że choć większość narodu uznaje program chrześcijańsko-społeczny, — wśród studentów słoweńskich zwolennicy tego prądu są w mniejszości?

A powstał taki stan rzeczy z tego powodu, że większość studentów rekrutuje się z synów mieszkańców miast, którzy najprzeważniej są zwolennikami liberalizmu, gdy tymczasem główne kadry stronnictwa chrześcijańskiego stanowią włościanie i wogóle wieśniacy, z których środowiska mniej wychodzi studentów. Nie należy z tego wnioskować, aby włościanie nie mogli czy nie chcieli swych synów kształcić wyżej, — owszem kształcą ich, tylko najchętniej kierują na księży.

Studenci słoweńscy większość lata spędzają na poznawaniu swego kraju, a o to wszyscy z równą pilnością zabiegają i starają się zarówno chrześcijańsko-społeczni, jak radykaliści i liberali. Wprost trudno zrobić jakąś wycieczkę latem po Krainie, Styryi czy Pobrzeżu Adryatyckiem, aby nie spotkać kilku partyi wędrujących studentów. Urządzają się przytem nader praktycznie: przed wakacjami zbierane są dokładne adresy wszystkich członków stowarzyszenia i każdy otrzymuje hektografowany lub litografowany arkusz z adresami swoich kole-



gów w czasie lata. Każdy, mieszkający u rodziców, obowiązany jest dać przechodzącym kolegom posiłek, a w razie potrzeby i nocleg. Tym sposobem poznawanie kraju dla studentów znacznie jest ułatwione, a że tam sobie ludzie żadnych ceremonii w obcowaniu między sobą nie robią, — więc i dla mieszkańców wsi te najścia, (nieraz dosyć częste) młodych wędrowców — nie są uciążliwe. Rzecz prosta, iż te wzajemne odwiedzania się robione są pieszko, bo inna komunikacya w kraju górzystym należy do zbytku.

Drugą ogromnie sympatyczną rzeczą są wakacyjne kursy społeczne dla studentów, odbywające się zwykle w jakim ustroniu, gdzieś wśród gór „na łonie cudnej natury”. Kursy te organizuje ks. J. Krek, o którego działalności wielokrotnie już wspominaliśmy, bo rzeczywiście trudno jest mówić o jakiegokolwiek pracy społecznej wśród słoweńców, żeby się nie zetknąć z nazwiskiem tego posła do sejmu i profesora seminaryum w jednej osobie. Ks. Krek po całorocznej pracy zwykle na kilka letnich tygodni znika z Lublany i szuka wytchnienia wśród gór rodzinnych. Omija przytem starannie krajowe zdrojowiska czy letniska, ale ot! — zwyczajnie — zamieszkuje w chacie pierwszego lepszego górala w jakiej pięknej okolicy i prowadzi życie proste, niewyszukane, jak przeciętny wieśniak. Większość odpoczynku zużywa na prace piśmiennicze, a kilka dni przeznaczają na kursy społeczne dla studentów, które odbywają się w następujący sposób. W miejscu swego stałego pobytu, czy też w innej miejscowości, mającej odpowiednie pomieszczenie na nocleg dla większej ilości osób, na wyznaczony termin, zbiera

się kilkudziesięciu studentów. Ks. Krek ma codziennie jakieś dwie godziny systematycznego wykładu, a reszta czasu zużywa się na wycieczki zbiorowe po okolicy, w czasie których rozmowy toczą się na tematy, poruszone w wykładach. Tym sposobem profesor ze swymi słuchaczami spędza całe dni od świtu do nocy, dzieląc się z nimi całym sercem całkowitą swą wiedzą.

W czasie swego pobytu wśród słoweńców miałem sposobność wziąć udział w tych kursach i sympatyczną pamięć o nich zachowam na długo,—a rozmowy, jakieśmy prowadzili w sprawach różnych zagadnień społecznych doby współczesnej, ogromnie mi dopomogły do wewnętrznego poznania słoweńców, do zrozumienia istniejących wśród nich stosunków i prądów panujących.

W roku 1907-ym jeszcze jeden dobry pomysł, wyszły z łona studentów słoweńskich, został urzeczywistniony. Oto w ciągu letnich wakacji odbył się w Zagrzebiu zjazd chorwackich i słoweńskich kleryków i studentów. Zjazd udał się znakomicie: wzięło w nim udział kilkaset osób, ożywione obrady trwały przez trzy dni i postanowiono w przyszłości zjazdy podobne powtarzać, o ile się da, corocznie. Doniosłość takich zjazdów jest olbrzymia, bo wytwarzają harmonię, usuwają nieufność, wskazują środki współdziałania dla tych, którzy będą kierowali pracą kulturalną w narodzie.

Wymiana zdań i poglądów między klerykami i studentami, z których wychodzi inteligencya duchowna i świecka narodu, ileż dobroczynnych skutków przynieść może dla stron obu!

Przedewszystkiem rozszerza widnokręgi jednych i drugich, zapobiega wytwarzaniu się ciastnej jednostronności w poglądach, przeciwdziała wyrażaniu się zgubnej kastowości, która tak często wprowadza rozdzźwięk do pracy społecznej. Ileż to zgrzytów możnaby nieraz uniknąć było, gdyby świeccy znali dokładnie wytyczne idee, kierujące postępowaniem księży i gdyby odwrotnie duchowieństwo lepiej wnikało w prądy, panujące wśród inteligencji świeckiej?!

Z tych względów zjazdy młodzieży, poświęcającej się stanowi duchownemu z oddającą się studjom w kierunku zawodów wolnych,— wszędzie w każdym kraju tylko z radością powitaćby można i życzyć i pragnąć z całego serca należy, aby i na naszym polskim gruncie takie zjazdy poczęły dochodzić do skutku!

W stosunkach chorwacko-słoweńskich zjazdy takie mają jeszcze wszechstronniejsze znaczenie, gdyż 1-o, zbliżają do siebie dwa bratnie ludy, posiadające dużo wspólnych interesów, a 2-o, chorwaccy klerycy i studenci zapoznają się z pracą społeczną słoweńców, którą dopiero teraz zaczynają przeszczepiać na swój grunt.

We wspomnianym pierwszym zjeździe studentów i kleryków chorwackich i słoweńskich brały udział katolickie stowarzyszenia „*Doma-goj*” i „*Hrvatstvo*” ze strony chorwatów, oraz „*Danica*”, „*Zarja*” i „*Slovenska dijaszka zveza*” ze strony słoweńców, jako też znaczna liczba kleryków ze stron obu.

Wśród organizatorów tego pierwszego zjazdu podniesiono myśl, aby na przyszłe zjazdy zapraszać przedstawicieli młodzieży polskiej. Sądzę, że z naszej strony projekt ten powinien się spotkać z jaknajżywszem przyjęciem. W począt-

kach przewiduję pewne trudności co do udziału kleryków polskich, ale przedstawiciele stowarzyszeń studenckich młodzieży katolickiej i narodowej mogliby odrazu wziąć udział w tych zjazdach. Zwłaszcza mam na myśli młodzież polską, rozproszoną po uczelniach zagranicznych (Fryburg w Szwajcaryi), oraz kształcąca się w Galicyi.

Niechby ten projekt rozpatrzyły bliżej odpowiednie organizacye studenteryi polskiej,—a dla usunięcia wszelkich obaw dodać i wyjaśnić muszę, że katolicka młodzież słoweńska niema nic wspólnego z konserwatyzmem. Nawskroś jest demokratyczna i ogromnie dobrzeby nam zrobiło, gdybyśmy się od nich przez zjazdy i bliższą łączność nieco zarazili tym ich zdrowym i szczerym demokratyzmem.

Zresztą za wytworzeniem się jakiegoś stałego łącznika między młodzieżą polską a słoweńską, tyle najrozmaitszych względów przemawia, że tylko wziąć się należy do stopniowego urzeczywistnienia dobrego projektu.

---



## XI.

### Duchowieństwo.

W społeczeństwie słoweńskim księża dotychczas odgrywają wybitną rolę i wątpię, aby kiedy roli tej odgrywać zaprzestali. Zapewne, że z czasem przestaną być jedynymi prawie przewodnikami społeczeństwa; ale też większość duchowieństwa sama tego pragnie, żeby jak najwięcej powstało zdolnych pracowników świeckich, którzyby w dalszym ciągu w tym samym kierunku uczciwym i rozumnym rozpoczętą działalność poprowadzili. Dziś bowiem wielu księży ponad siły ludzkie pracować musi, aby tylko wzrastającym potrzebom swego ludu zadość uczynić.

Jeżeli duchowieństwo słoweńskie zajmuje pierwsze stanowisko w narodzie to nie dlatego, żeby przez jakąś żądzę władzy do tego doszło: ale stało się to naturalnym porządkiem rzeczy, gdyż księża pierwsi stanęli na placówkach pracy narodowej i społecznej. Słusznie więc pierwsi w robocie stali się pierwszymi w społeczeństwie: inaczej być nie mogło.

Przedstawiłem to zresztą w rozdziałach poprzednich, już to przy opisie pracy oświato-

wej, już to przy omawianiu życia społecznego, gdzie duchowieństwo wszędzie dawało inicjatywę lub zapoczątkowaniem kierowało.

„Księża byli głównymi przywódcami odrodzenia narodowego i również księża są dziś głównymi pracownikami materialnego wzmocnienia ludności!” — zdanie to, wypowiedziane w jednym z początkowych rozdziałów, powtarzam obecnie, gdyż obiektywny opis tego, co się robiło i robi wśród słoweńców, zupełnie ten sąd potwierdza.

A jak jest u nas pod tym względem? To pytanie, ta chęć porównania nasuwa się z nieprzepartą siłą, — ustępuję jej: bo i dlaczegoż się cofać przed sposobnością do uwag i refleksyi, które tylko na pożytek wyjść mogą?

Krzywdę wielką zrobiłby ten duchowieństwu polskiemu, ktoby mu odmówił patryotyzmu. Jak żywe uczucie pod tym względem panuje wśród księży naszych, — na to dostateczną ilość dowodów mieliśmy dawniej i mamy je ciągle aż do ostatnich chwil włącznie.

Ale gdy przeniesiemy się na pole pracy społecznej, — to porównanie ze słoweńcami wypadnie mniej korzystnie. Niewłaściwem byłoby obwiniać o ten stan rzeczy same duchowieństwo jedynie, gdyż wszyscy winniśmy potrosze, zwłaszcza, że zawsze mieliśmy inteligencyę świecką, która oddawna pracę tę podjąć mogła i była powinna. Że tak się nie stało, nie czas tu na tem miejscu zgłębiać: dlaczego?

Co zaś do księży polskich specjalnie, to wiemy dobrze, że 1-o) warunki zewnętrzne nie pozwalały większości na swobodę ruchów i działania, 2-o) przy najlepszych chęciach i zamia-

rach niektórych, nie działac nie mogli wobec braku znajomości rzeczy.

Sama dobra wola nie wystarcza: potrzeba umiejętności i wyrobienia.

Teraz, jeżeli weźmiemy pod uwagę tylko Królestwo i prowincye zabrane, to bez względu na całą reakcyę, jest pewna możność swobodniejszego poruszania się na niwie społecznej i jeżeli ta sposobność odrazu nie została wyzyskana przez duchowieństwo należycie, to jedynie brakiem przygotowania tłumaczyć należy. Że to jest rozumiane w sferach decydujących, widac z wprowadzenia wykładów socyologii już w czterech seminaryach duchownych Królestwa. W Galicyi tego samego w podwładnem sobie seminaryum dokonał ks. arcybiskup Bilczewski. W Petersburgu w Akademii duchownej również utworzono katedrę nauk społecznych. Słowem należy mieć nadzieję, że wkrótce we wszystkich uczelniach dla kleru polskiego, socyologia będzie uwzględniana odpowiednio, a jeżeli nie stało się to odrazu we wszystkich seminaryach, to zapewne brak potrzebnej ilości sił profesorskich stanął temu na przeszkodzie.

W czasach obecnych praca społeczna duchowieństwa stała się nierozdzielną niemal częścią duszpasterstwa i w wielu razach ona to rozstrzyga o podtrzymaniu ducha religii w narodzie. Jeżelibyśmy nie mieli innych dowodów po temu, — to stosunki słoweńskie są świadectwem najzupełniej nas o tem przekonywajacem.

Ale też w seminaryum duchownem w Lublanie nauki społeczne wykładane są już od lat przeszło dwunastu. Prowadzi je ks. dr. J. Krek, a kurs dwuletni socyologii tak rozkłada, aby słuchacze nie byli przeładowywani suchą teorią,

lecz aby, zdobywszy ogólne podstawy wiedzy socyalnej, umieli posiadane wiadomości stosować praktycznie.

Z tych względów klerycy zachęceni są, aby, w czasie odpoczynku wakacyjnego, na gruncie zajmowali się badaniem stosunków społecznych w swej okolicy, a zebrany tym sposobem materiał służy później do opracowywania samodzielnych referatów.

Ma to wielce doniosłe znaczenie, gdyż klerycy — miast przeżuwać w swych pracach dane książkowe — odrazu do zakresu wiedzy teoretycznej wprowadzają realne wiadomości, własnymi siłami, na własnym rodzinnym gruncie pozyskane: toć podźwignięcie przemysłu ludowego wśród słoweńców, dokonane zostało głównie dzięki badaniom kleryków, którzy, podaniem do ogólnej wiadomości wyników swych spostrzeżeń, zwrócili uwagę ogółu na tę doniosłą sprawę, i dziś dział za działem przemysł wiejski odżywa, a nawet w niektórych miejscowościach już i zakwitać poczyna!

Czyż jednak samo tylko posiadanie zasad wiedzy socyalnej sprawiło te sukcesy duchowieństwa słoweńskiego w pracy chrześcijańsko-społecznej?

Co do tego dwóch zdań niema, że wiedza pomogła dużo w pracy; ale fundamentem było całkowite oddanie się interesom ludu, poświęcających się tej pracy księży.

W przeciętnej wsi słoweńskiej ksiądz jest nietylko duszpasterzem, ale i najlepszym doradcą w życiowych sprawach codziennych, i sędzią rozjemczym w razie sporów, i obrońcą wobec grożącej krzywdy. Na sto—w dziewięćdziesięciu wypadkach, jeżeli kmieć słoweński znaj-



dzie się w położeniu, w którym sam sobie poradzić nie umie, — zwróci się napewno do swego proboszcza lub wikaryusza miejscowego po radę.

O ile wieśniak słoweński odnosi się z wielką nieufnością do każdego obcego, a zwłaszcza Niemca, o tyle przed swoim proboszczem można powiedzieć, że niema tajemnic.

Ksiądz słoweński jest dla swych parafian dobrym ojcem, — a jeszcze częściej dobrym bratem.

Żadnym tam bratem „starszym”, ale zwykłym dobrym bratem, który wie i umie więcej po to tylko, aby więcej dobrego mózdz świadczyc wespółbraciom.

Duchowieństwo słoweńskie wyszło z ludu i węzły serdeczne ani na chwilę nie przestały go łączyć z tym ludem. W stosunkach wzajemnych niema ani krzty oficjalności, oschłości czy chłodnej obojętności — zawsze i wszędzie widziałem gorącą serdeczność, naturalną prostotę i bezpośrednią szczerłość.

Lud i duchowieństwo stanowią jedno. Szczęśliwy lud i szczęśliwe duchowieństwo, że stosunki słoweńskie na takie zespolenie pozwalają...

Praca duszpasterska księży słoweńskich jeżeli ma jakie przeszkody, to tylko ze strony terenu. Kraj, zamieszkały przez słowenców, jest górzysty; większość kościołów, jeżeli nie parafialnych to filialnych, stoi na wierzchołkach gór; stąd naturalne trudności w działalności.

Proboszcz jest przytem jednocześnie katechetą w szkole, — nawet nieraz w dwóch: miejscowej i sąsiedniej, znajdującej się naprzykład w pobliskiej dolinie, do której droga prowadzi przez wierzchołek góry. Bardzo ładny spacer:

półtrzeciej godziny w jedną stronę i tyleż w drugą. Trzy razy w tygodniu, — zwłaszcza zimą — zdaje się, że i najzapaleńszy turysta miałby dosyć po jednym tygodniu! A ksiądz lata całe musi takie kursy robić, bo to jest związane z obowiązkiem jego stanowiska \*).

Skoro już mowa o pracy duchowieństwa, to trudno nie wspomnieć przy tej sposobności o dobrym zwyczaju, jaki zauważyłem w wielu parafiach Krainy. W niedzielę po nieszporach urządzone są w kościele dla parafian czytania. Czytane bywają nie tylko żywoty świętych i rzeczy religijne, ale też artykuły poważne w sprawach najróżnorodniejszych, z wyłączeniem polityki i takich kwestyi gospodarskich, które się do poruszania w murach kościoła nie nadają. Nieraz czytania takie bywają urządzone osobno dla kobiet, osobno dla mężczyzn i osobno dla młodzieży, o ile trzeba poruszyć sprawy, specjalnie daną grupę obchodzące. Sam byłem świadkiem takiego czytania dla kobiet o obowiązkach moralnych matki względem dzieci.

Jak stosunek ludu do księży, tak samo stosunek księży do biskupa jest prosty i serdeczny bez sztywnej etykiety i ceremonialności.

Biskup wszystko wiedzieć musi, co się w diecezji dzieje, a wiadomości te posiada z pierwszej ręki od samych działających.

Pozostawia szerokie pole inicjatywie osobistej księży — działaczy, zawsze polecając pamiętać tylko o dobru Kościoła i ojczyzny.

---

\*) Zaznaczyć przytem należy, iż przy takiej uciążliwej pracy większość duchowieństwa ma bardzo mierne uposażenie, a parafie przytem, jakkolwiek rozrzucone na dosyć stosunkowo znacznej przestrzeni, niezbyt są liczne.

Tem się też tłumaczy ten szeroki zakres, ta wszechstronność pracy księży słoweńskich, że nikt im nie zakreśla wąziutkich granic działalności, nikt im nie nakazuje: „rób tylko to a to”, „zład — dotąd”, lecz *dane im jest przygotowanie odpowiednie* i zaszczepiony głęboko w serce pogląd: „rób, co na swem stanowisku, w swoich warunkach uważasz za dobre dla spraw Bożych i ludzkich”. „Czynią każdy w swem kółku” i całość;— rzeczywiście — się „składa”, bo mają:

1) wolę czynu,

2) umiejętność czynu, i

3) jest ich tylu chętnych do czynu, że wytworzone „kółka” nie obracają się jak błędne w przestrzeni, lecz tworzą zgodny harmonijny i całkowity mechanizm społeczny!

Tam, w Krainie, przekonałem się, że jeżeli są trzy wyżej wymienione warunki, to ten, pozornie sentymentalno - czułościowy, dwuwiersz Brodzińskiego ma głębokie znaczenie społeczne.

---

## XII.

### Domówienia.

W rozwoju pracy chrześcijańsko-społecznej wśród słoweńców, niewątpliwie czasopiśmiennictwo odegrało rolę wybitną i w dalszym ciągu ustawicznie się przyczynia do dalszego jej powodzenia.

W służbie ideałów chrześcijańskich mają słoweńcy dziennik „*Slovenec*”, tygodnik ludowy „*Domoljub*”, tygodnik religijny „*Bogoljub*”, miesięcznik beletrystyczny „*Dom in Svet*”, miesięcznik naukowy „*Czas*”, tygodniki dla robotników „*Nasza moc*” i „*Primorski list*”, pisma dla dzieci: „*Krszanski detoljub*”, „*Angelczek*” i „*Vrtec*”, miesięcznik dla studentów „*Zora*” z dodatkiem dla uczniów „*Srednjeszolec*”, miesięcznik „*Zlata Do-ba*”, szerzący ruch trzeźwościowy. A szereg ten nie jest jeszcze całkowity, gdyż pominąłem takie pisma specyjalne, jak „*Slovenski Gospodar*” lub „*Narodni Gospodar*”, nie licząc sporej liczby różnych katolickich tygodników lokalnych, jakie prawie w każdym większym mieście wychodzą.

Ta ilość pism wyda się nam zwłaszcza imponującą, gdy jeszcze raz przypomnimy sobie,



że słowenców w Europie jest niespełna półtora miliona, rachując już hojnie.

Drugie tyle co katolickich można liczyć pism liberalnych i socjalistycznych,—a choć te ostatnie rozchodzą się w bardzo skromnej liczbie egzemplarzy w porównaniu z pismami chrześcijańskiego kierunku — tem niemniej przyznać trzeba, iż na ziemi słoweńskiej czytelnictwo rozpowszechnione jest szeroko. Przez to samo i pomocnicze znaczenie prasy w torowaniu dróg ideom pracy społecznej jest znacznie większe, niż np. u nas.

Opis organizacyi społecznej wśród słowenców nie byłby całkowity, gdybym nie wspomniał jeszcze, iż w Krainie żyd i żebrak należą do zjawisk wyjątkowych. Według statystyki z roku 1900-go w całej Krainie, liczącej z górą pół miliona mieszkańców, było około *półtorej setki* żydów, a żebraków napewno nie więcej.

Żydów na ziemi słoweńskiej musiało kiedyś być znacznie więcej, na co wskazuje choćby istnienie w Lublanie do dziś dnia ulicy „Żydowskiej”; obecnie jednak,—gdy się społeczeństwo zorganizowało na zasadach demokratycznych i chrześcijańskich,—żywiół żydowski stracił grunt dla swej działalności i wyniósł się gdzieindziej.

Co zaś do ubogich, to tak się tam urządzają, że albo w gminie musi być przytułek dla niezdolnych do pracy, albo też biedaka muszą dolejno gospodarze utrzymywać. Rzadko to jednak do tego dochodzi, gdyż rzadko się zdarza, aby ktoś przy obecnym systemie gospodarstwa społecznego znalazł się bez mniej lub więcej zabezpieczonej starości. A jeżeli się i znajdzie

taki nieszczęśliwy, to w sposób wspomniany nie dopuszczają do tułania się jego po zebraniu.

Wspomnieć wreszcie też należy, że kasy pożyczkowo-oszczędnościowe przy dzieleniu zysków swoich pamiętają zawsze o uczącej się młodzieży i przeznaczają corocznie pewne kwoty na stypendya dla studentów i uczniów; przy czem pierwszeństwo zwykle mają ci, którzy pochodzą z tej samej okolicy, w której kasa działa. Podziałem tych ofiar między studentów i uczniów potrzebujących, zajmują się albo stowarzyszenia młodzieży, albo komitety osób, godnych zaufania. Nieraz i tak się zdarza, że z jakiejś okolicy kształci się kilku młodzieńców ubogich; wtenczas stowarzyszenie albo komitet wprost się zwraca do zarządu kasy, operującej w tej miejscowości z przedstawieniem kwestyi: i nie zdarza się, aby kasa, o ile ma zyski, odmówiła takiego wsparcia. Dzięki to podobnym zwyczajom prawie *siedmiuset* młodych słowenców, w tem sporo synów włościańskich, może się kształcić w wyższych uczelniach.

Po odrodzeniu się narodowem, po zorganizowaniu się społecznem, poczynają się teraz wśród słowenców na tak przygotowanym gruncie rozwijać sztuki piękne: zakwita poezya, wzrasta beletrystyka, wytwarza się malarstwo, rzeźba i muzyka. Są to dopiero w większej części pierwociny, ale pierwociny, pozwalające mieć jaknajlepsze nadzieje co do przyszłości, tembardziej, że już obecnie coraz liczniejsze są szeregi pracujących i na polu umiejętności.

. . . . .  
Dobiegam do końca.

Postawiłem sobie za zadanie skreślenie  
*Wśród słowenców.*

obrazu pracy chrześcijańsko - społecznej wśród słoweńców—i, jakkolwiek nie bez pewnych nieuniknionych braków, — plan swój wykonałem. Przeglądam karty skreślone i widzę, że obraz cały wypadł w barwach jasnych,—że ciemnych kolorów prawie w nim niema!

Może mi kto robić zarzut z tego, boć przecie nigdzie niema rajy na ziemi!

Mnie się jednak zdaje, że miałem prawo dać taki obraz dodatni, jaki przedstawiłem, na tej samej zasadzie, na której o człowieku, posiadającym znacznie więcej zalet niż wad, mówimy, że jest dobry lub szlachetny.

Dodatnich stron organizacyi i pracy społecznej na ziemi słoweńskiej ani nie przesadzałem, ani nie wyjaskrawiałem. Pisałem tak, jak rzeczy widziałem, a w czasie swych kilkumiesięcznych studyów starałem się wszystko widzieć dobrze i o ile można było dokładnie.

Czasami na niektóre rzeczy, których wprowadzenie czy zastosowanie u nas uważałem za pożyteczne, kładłem większy nacisk. A jeżeli niekiedy przytem z pod pióra i gorzkie słowo wypłynęło, to nigdy nie miałem zamiaru dokużenia nikomu, ale był to wynik bólu serdecznego, iż tyle, tyle jeszcze w tej naszej Polsce nieszczęśnej braków rozmaitych.

Mało pisałem o słoweńcach, stojących po za kołami chrześcijańsko-społecznymi, lecz 1-o ta grupa słoweńców nie jest zbyt liczna, 2-o niema wśród nich nic takiego, coby na baczniejszą uwagę zasługiwało.

Zaznaczam też, iż książka niniejsza nie przedstawia całokształtu życia słoweńców we wszystkich jego przejawach doby współczesnej,

co zresztą uważny czytelnik sam spostrzedz miał  
możność.

Byłbym szczęśliwy, gdyby urządzenia, na  
które w tej książce zwróciłem uwagę, były jesz-  
cze raz przez ludzi kompetentniejszych odemnie  
na gruncie słoweńskim przestudyowane i do na-  
szych stosunków przeszczepione. Ogromnie wie-  
le zyskałoby na tem społeczeństwo polskie.

Wreszcie pozwalam sobie na tem miejscu  
złożyć najserdeczniejsze podziękowanie dr. Ja-  
nowi Krekowi, dr. Eugeniuszowi Lampemu, ks.  
Leopoldowi Lenardowi, Josipowi Regalemu, ojcu  
i synowi Gostinczarom, oraz tym wszystkim,  
którym zawdzięczam ułatwienie badania sto-  
sunków jako też otwarcie dostępu do wszystkich  
stowarzyszeń w kraju.

Przyjmowany wszędzie z iście braterską  
serdecznością i ujmującą prostotą, pobyt swój  
na ziemi słoweńskiej zawsze mile wspominać  
będę!

1907 — 1908.



*Lublana — Kraków.*





## Spis rzeczy.

---

	<i>Str.</i>
I. W drodze . . . . .	5
II. Lublana . . . . .	7
III. Zadrużna Zveza . . . . .	16
IV. Ljudska Posojilnica. . . . .	52
V. Gospodarska Zveza . . . . .	62
VI. Oświata . . . . .	68
A) Katolizsko tiskovno druzstvo . . . . .	73
B) Družba sv. Mohorja. . . . .	78
C) Szolska Družba sv. Cirila in Metoda. . . . .	88
D) Slovenska Matica . . . . .	99
E) Ułatwianie oświaty. . . . .	107
VII. Ruch trzeźwościowy. . . . .	111
VIII. Wieś . . . . .	122
IX. Robotnicy . . . . .	137
X. Studenci. . . . .	143
XI. Duchowieństwo . . . . .	152
XII. Domówienia. . . . .	159

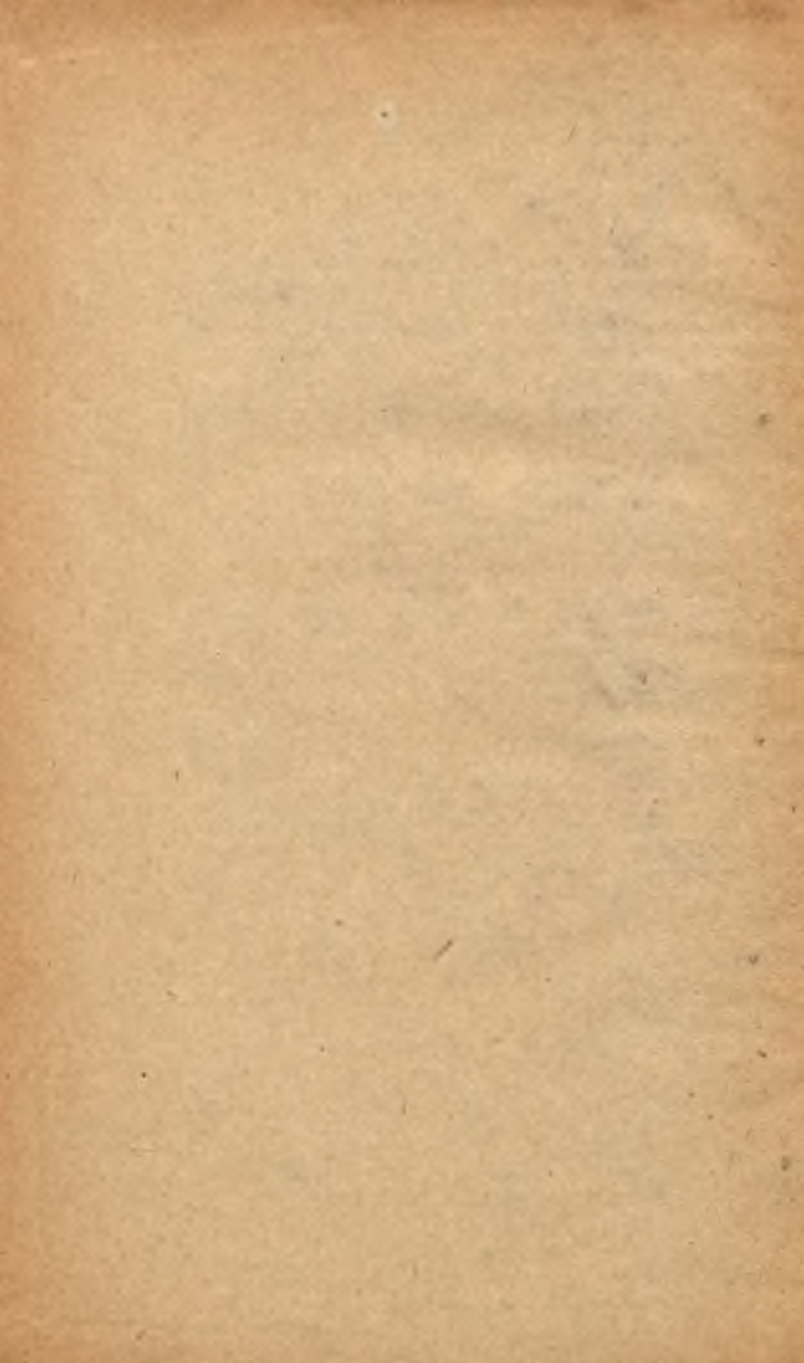
---



- Ks. Arcybiskup I. Teodorowicz: Katolicyzm a Cywilizacya.** Z przemówienia na zjeździe w Warszawie. Kop. 30.
- Papież i Lud.** Broszura w kwestyi agrarnej, na podstawie dokumentów watykańskich przez Gabyriela Ardant, czytana i aprobowana przez Leona XIII-go. Kop. 80.
- Związki Katolickie w Niemczech;** w tem i praktyczne wskazówki prowadzenia ugrupowań wogóle. Kop. 30.
- Dlaczego katolicy przegrywali?** Ks. Naudet'a. Kop. 80.
- Jasełka historyczne,** K. Laskowskiego (Ela). K. 15.
- O prawa równe i sprawiedliwe.** Głos w kwestyi kobiecej przez M. Karczewską, przedmowa A. Szecha. — Kop. 30.
- Pod Czerwonym Sztandarem,** powieść E. Richtera (rozczerowanie państwem socjalistycznym Bebla) str. 190. K. 80.
- Ponad stronnictwami,** Wal. Gostomskiego. K. 30.
- Praca społeczna w południowej Słowenii-szczyńcu,** ks. prof. L. Lenard z Lublany. K. 15.
- Zasady socjologii katolickiej,** ks. Naudet'a. — przedmowa A. Wysloucha. — Kop. 80.
- Antychryst.** — Kop. 5.
- O kierunku ideowym i wyznaniowym w szkole polskiej,** Z. Wołowska. — Kop. 10.
- Biblioteki parafialne** — ich urządzenie i prowadzenie, ks. M. Fulman. — Kop. 20.
- Pożary i zgliszcza** M. Rodziewiczówny. — Rb. 1.80.
- Ludowa samopomoc pieniężna** w Poznańskim, Galicyi, Czechach i w Koronie. Napisał M. Malinowski, red. „Zorzy.” — Kop. 20.
- Związek chłopski** (Boerenbond) w Belgii i Holandyi. Al. Woycicki. Kop. 20.
- Czujni, Odważni i Silni.** Szkice. Niemirowicz-Danczenko. — Kop. 30.
- Ks. Arcybiskup Irlandii. Kościół i czasy obecne.** Kop. 50.
- Spółem! Kooperatywy.** Powstanie stowarzyszeń udziałowych i najpierwsze zasady ich prowadzenia, napisał A. L. Szymański. — Kop. 15.
- Uświadamianie dzieci.** — Kop. 15.
- Ks. Piotr SKARGA T. J.: Kazania Sejmowe,** z dłuższem przedśłowiem społeczno-historycznem wg. I. Chrzanowskiego. Dochód przeznaczony na tanie wydawnictwo Pisma św. str. 272. — Kop. 60.









Biblioteka im. Hieronima  
Łopacińskiego w Lublinie

323903

1000071823

